Książki Zbigniewa Adamskiego:
* MOJE SPOTKANIA Z PRZYRODĄ - 1980r.- Muzeum Okręgowe w Jeleniej Górze,
* ROSPUDĄ DO PUSZCZY AUGUSTOWSKIEJ - 1984r - Muzeum Okręgowe w Jeleniej Górze,
SKARBIEC ŚW. HUBERTA W KARKONOSZACH I NA POGÓRZU — 1997 r.,
SKARBIEC ŚW. HUBERTA W GÓRZYSTEJ KRAINIE SUDETÓW — 2006 r.,
ZE STRZELBĄ I WĘDKĄ — 1998 r., ONTARYJSKIE SAFARI — 2000 r.,
NAD RZEKĄ ŚW. WAWRZYŃCA— 2002 r., ŁOWY Z KAMERĄ — 2003 r.,
W KRÓLESTWIE DIANY — 2004 r., Z WĘDRÓWEK PO PUSZCZACH — 2004 r.,
TĘCZOWE LASY KANADY — 2005 r., RYBY MEGO ŻYCIA — 2005 r.,
PODNIEBNE KLEJNOTY — 2006 r.
* Albumy fotografii przyrodniczo — turystycznej dużego formatu,
przekazane w depozyt do Muzeum 13 marca 1998 roku.

ZBIGNIEW ADAMSKI Z WĘDRÓWEK PO PUSZCZACH

ZBIGNIEW ADAMSKI

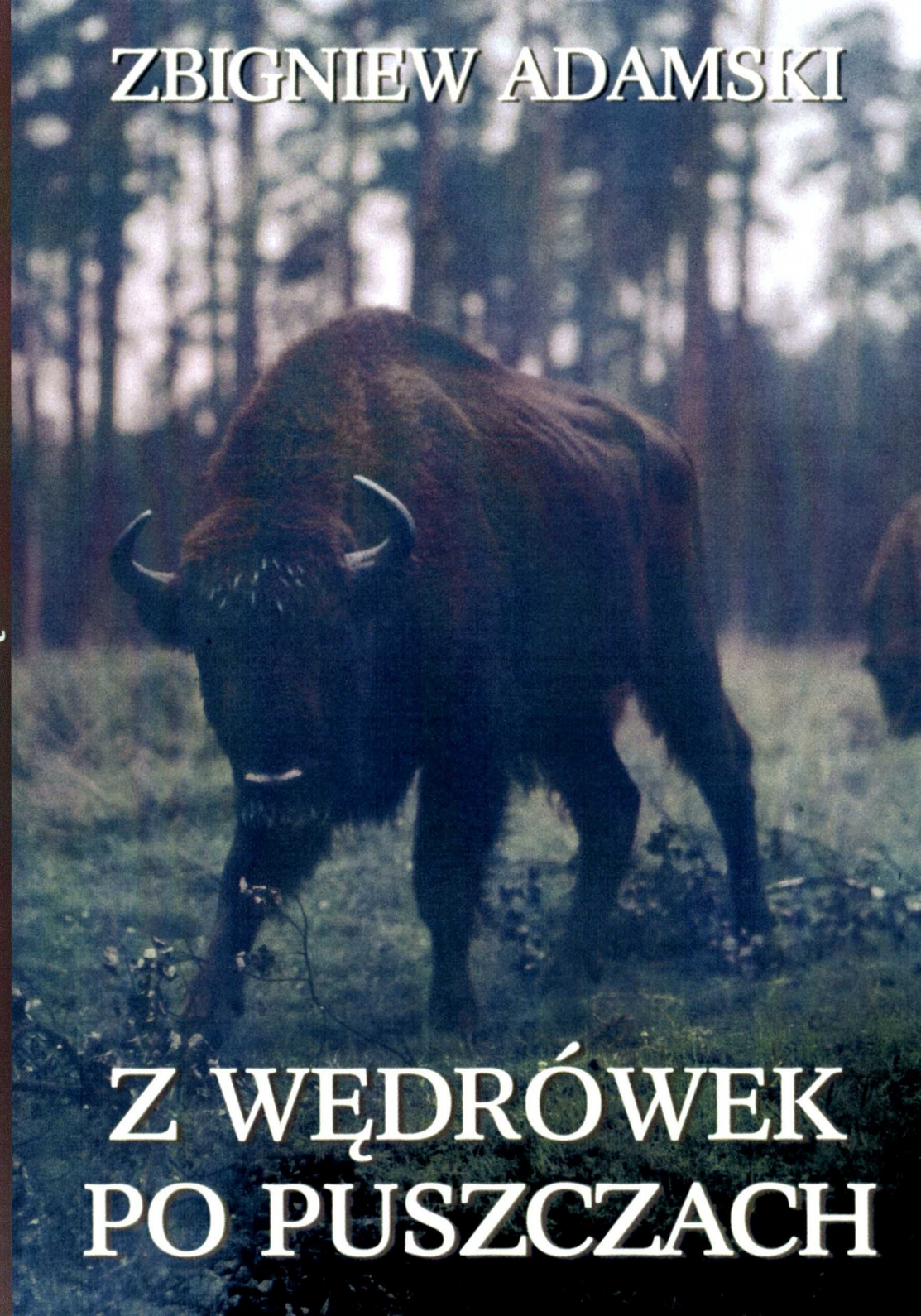

Z WĘDRÓWEK PO PUSZCZACH

Z WĘDRÓWEK
PO PUSZCZACH

Chociażby człek swe ruchy na uwięzi miał.
Najmniejszy szmer za sobą uchwyci uszami,
Brzęczący, by na tyłach przezornie się strzec.
Częstokroć też poważnym przechadza się krokiem,
Jeśli nie lśnią strzały, nie błyszczy się broń.
Zaś ono długie w tobie utkwiwszy spojrzenie
Przystaje, tak ją więzić umie ludzki wzrok.
Lecz jeśli wiedzie z sobą, troskliwe swe młode
Szaleje, chrzęstem broni uderzona, w mig, obwieszcza
Straszliwym wieści rykiem swą okrutną wściekłość,
To znak jest, by nikt zbytnio nie zbliżał się k'niej.
Lecz płocho nie napada nikogo, prócz wroga,
Bezpiecznie nie ukrzywdzi, gdy uciekać chcesz.

Fragment poematu „Pieśń o żubrze" ,napisana
przez Mikołaja Hussowskiego po łacinie,
w tłumaczeniu Jana Kasprowicza.

Zbigniew Adamski
KSIĄŻKI PRZYGODOWO-ŁOWIECKIE

Rospudą do Puszczy Augustowskiej
Moje spotkania z przyrodą
Skarbiec św. Huberta w Karkonoszach i na Pogórzu
Ontaryjskie safari
Nad rzeką św. Wawrzyńca
Ze strzelbą i wędką
W królestwie Diany
Łowy z kamerą
Z wędrówek po puszczach
Tęczowe lasy Kanady
Ryby mego życia

Zbigniew Adamski

Z WĘDRÓWEK PO PUSZCZACH

NA TROPACH ŻUBRÓW

NA LITWIE I W PUSZCZACH:
BORECKIEJ, PISKIEJ i PSZCZYŃSKIEJ

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Jelenia Góra – 2005 rok
Printed in Poland

Polski Związek Łowiecki
Zarząd Okręgowy w Jeleniej Górze

Opiniodawcy: Kazimierz Koncewicz, Jerzy Janus

Redaktor: Andrzej Grzelak, Adam Jackowski

Fotografie i rysunki: Zbigniew Adamski

Skład komputerowy: Andrzej Chmielewski

Diapozytywy wybrał: Rafał Struś i Dariusz Adamski

Opracowanie graficzne: Jan Poniatowski

W y d a n i e d r u g i e e l e k t r o n i c z n e
Przygotowała Zofia Wąsik – kwiecień 2016 r.

Wydanie pierwsze
Copyright 2004 by Zbigniew Adamski.
Jelenia Góra – 2005 rok
Printed in Poland

Kilka słów wstępu

Z żubrami spotykałem się wiele razy – w Puszczy Boreckiej dwa, w Piskiej pięciokrotnie, bo pływałem tam na jeziorach w pierwszych powojennych latach. Początkowo były to kajaki, a potem pełnomorskie żaglówki „ Tahiti”, „Bora - Bora” i „Nike”. Odwiedziłem niemal całą Krainę Wielkich Jezior Mazurskich.

Żubry też fotografowałem w Puszczy Białowieskiej. Potem miejsca po ukąszeniach przez komary i muchy leczyłem chyba ze dwa miesiące, mimo serii bolesnych zastrzyków przeciw jadowitym insektom.

Za namową redaktora Łowca Polskiego Józefa Szczepkowskiego cały urlop spędziłem w Lasach Pszczyńskich obcując przez obiektyw z żubrami.

Bogaty plon z tych foto - safari nie zalegał długo w moich szufladach. Prezentowałem go na kilkudziesięciu wystawach w kraju i za granicą. W Sofii otrzymałem medal za zdjęcia żubrów. W Budapeszcie żubry umieszczono w magazynie dla myśliwych. Z dawnego Leningradu, dzisiejszego Petersburga, wystawa fotografii pt. „Moje spotkania z przyrodą” nigdy nie powróciła.

W kraju każdej z wystaw towarzyszyła Księga pamiątkowa, w której wpisywano uwagi. Z niej mogłem wywnioskować, że odwiedzający galerie mieli przemożną słabość do żubrów, prezentowanych wśród dziesiątków innych zwierząt i ptaków.

Stąd zrodziła się myśl, aby zajrzeć do starych notatek i przypomnieć zdarzenia towarzyszące fotografowaniu tych zwierząt, pamiętających chyba jeszcze czasy prehistoryczne. Żubry przecież tak bardzo odcisnęły swe piętno na naszej historii i były związane z początkami polskiej państwowości i chyba, dlatego były tak chętnie oglądane.

Ja zaś śmiało mogę powiedzieć, że żubry były wdzięcznym, choć niebezpiecznym obiektem mych fotograficznych łowów!

Darz Bór!

ZBIGNIEW ADAMSKI

Z WĘDRÓWEK PO PUSZCZACH

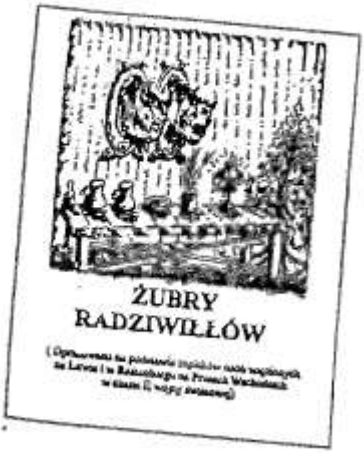

W PUSZCZY BORECKIEJ

W PUSZCZY PISKIEJ

W PUSZCZY PSZCZYŃSKIEJ

Wydawnictwo wspierane przez:
Zarząd Okręgowy Polskiego Związku Łowieckiego w Jeleniej Górze,
sklep myśliwski „Muflon" w Jeleniej Górze.

Płytkie bagienne rozlewiska niegdyś zwano „blszczyny”, co oznaczało błyszczące wody i bagna. Zdaniem prof. Jana Miodka od nich przybrała nazwę rzeka Pszczynka zmierzająca do Wisły oraz miasto Pszczyna i wielkie bory wokół niej. Żubry miały tu wspaniałe warunki do bytowania i wychowania potomstwa.

Pięknie jest na świecie – myślała Plakieta, jedna z trojga żubrów. Urodzona przez Planetę. Lasy, jakby na jej powitalne przyjście na świat przybrały się w świeżą, pachnącą zieleń, a szemrzący strumyczek Korzeniec sugerował jej dalekie puszczańskie pochodzenie. Odziedziczyła wszystkie dobre cechy po swej matce, a obcując z nią nabyła jeszcze nowych – rozum i dystans do człowieka. Poza pierwotnym puszczańskim wyglądem pozostała w niej dzikość i umiłowanie do swobody.

Plantę cechował instynkt samozachowawczy, jakby przeczuwała, że od niej właśnie zależy cały żubrzy ród na ziemi. Wydała na świat aż piętnaście potomków, co przyczyniło się do zwiększenia populacji tego wymierającego gatunku. W przyszłości miały żubry z Pszczyny z powrotem powędrować do Puszczy Białowieskiej, skąd przed pół wiekiem przybyły i tam zagwarantować ciągłość gatunku.

Plisch urodził się nad Korzeńcem w roku 1933. Był wspaniale zbudowanym byczkiem. Miał długą brodę, głęboko zwisającą ku dołowi, szyję i bark pokryty kędzierzawym włosem, a na sobie krótką, lśniącą, ościową sierść.

Już od urodzenia znacznie różnił się od swego rodzeństwa odwagą, siłą i pomysłowością.

Fragment opowiadania ze strony 120

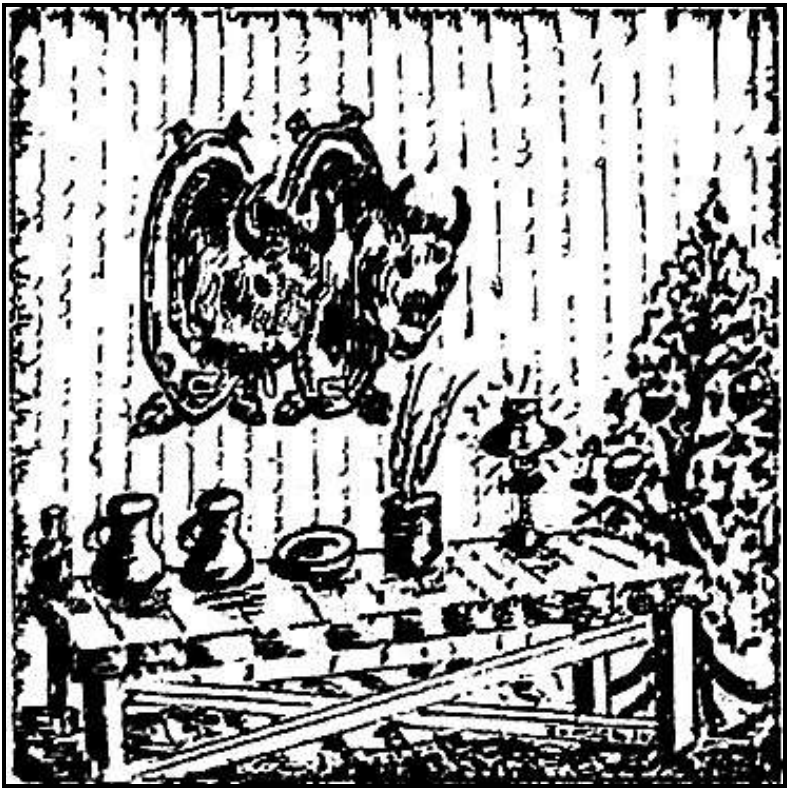

ŻUBRY RADZIWIŁŁÓW

(Opracowano na podstawie zapisków osób więzionych
na Litwie i w Rastenborgu w Prusach Wschodnich
w czasie II wojny światowej)

1. Ucieczka z Pałągi

We wrześniu 1939 roku mojemu ojcu, jak wielu wówczas żołnierzom broniącym ojczyzny, przypadło walczyć o Wilno, podobnie jak w roku 1920. Wówczas młodemu chłopcu, ochotnikowi powierzono to samo zadanie - obronę miasta przed bolszewikami. Szybko jednak stamtąd trafił do sławetnego fortu na Szańcach pod Kownem, a potem jenieckiego obozu zorganizowanego w znanym jeszcze sprzed wojny kurorcie nad Bałtykiem – Pałągi.

Tam Litwini pomiędzy wydmowymi wzgórzami, porośniętymi sosnowym borem, zorganizowali ośrodek internowania dla oficerów i żołnierzy polskich. Choć nie było płotów i drutów kolczastych, to ucieczka z niego była niemożliwa ze względu na głęboką nieckę, której korony pilnowały uzbrojeni wartownicy. Tam zginął jego najlepszy pułkowy kolega Jurek Połczyński, który przebrany w skórę niedźwiedzia postanowił jednej nocy skrycie opuścić obóz.

Szybko nadchodziła zima, która w tej część Europy zawitała niespodziewanymi mrozami. Ziemię skuła lodem i zasypała śniegiem. Głód i zimno przyczyniały się do śmierci wielu internowanych do Pałągi wojaków.

W czasie długich zimowych wieczorów, kiedy na niebie płonęły gwiazdy, a bajkowe arktyczne zachody słońca zwiastowały coraz silniejsze mrozy, przy drewnem opalanych rusztach snuto plany ucieczek. Zachęcali do tego liczni zewnętrzni emisariusze mający jakoby kontakty z Tyszkiewiczami, rodem wielce zasłużonym dla Polski i Litwy. Ich pałac i ziemie w około Pałągi,

Šventoji, Nemirsety czy Kunigiškiai od setek lat należały do nich i sięgały aż pod granicę łotewską.

Mówiono o rybackich kutrach ze Szwecji podpływających pod brzegi Litwy i o przemytnikach, których można było spotkać na miejscowym targowisku. Tam oferowano wszystko - od owoców, mięsa, skór, po bryły bursztynu i bimber, ale i też było można załatwić u rybaków obcej bandery i ucieczkę. Udało się to wielu polskim jeńcom. Sprawa ta stała się dość głośna i zainteresowała niemieckie kutry patrolowe bazujące nad Zalewem Kurońskim, które coraz bardziej ograniczały ten proceder.

*

W grudniowy śnieżny dzień ojciec otulony starym wytartym kożuchem, w zajęczej czapie z bielaka nasuniętej głęboko na oczy, udając Żmudzina, razem z woźnicą przywożącym do ośrodka chleb, stanął przed obozową strażnicą.

Drewniany zydel na konnym wozie od strachu parzył przez wełniane portki, a pot skraplał się na rzęsach i szronem zamarzał nad oczami. Konie nerwowo rżały, szarpały wozem i tylko woźnica był spokojny, choć też drgały mu powieki. Widząc nerwowe napięcie swego kompana wymruczał: – Ty się nie masz czego bać, ty odważny wojak!

Młody wartownik, ciepło otulony, z mosinem i zatkniętym na lufie bagnetem, podszedł do wozu i głośno ich pozdrowił: – Sveikas (cześć).

Woźnica również przywitał pozdrowieniem wartownika, który teraz bacznie przyglądał się ubranemu w podartą skórę jego sąsiadowi. Coś jednak wyczuł. Stał długo, wreszcie podszedł z tyłu wozu i ostrze bagnetu głęboko wbił w górę worków zalegających na podłodze wozu. Wrócił zadowolony!

Aćiu, gerai. Iki pasimatymo Širvydas – powiedział.

Otworzył barierki strażnicy, woźnica podciął konie i ruszono naprzód.

Ojciec oniemiał z wrażenia.

Stanislovas, ja tobie rzekł, że ty nie masz się czego obawiać, że będzie wszystko dobrze, Uważaj teraz i się módl, aby nie spotkał nas radziecki patrol, który tu coraz częściej zagląda. Zresztą wyglądasz jak prawdziwy Żmudzin sprzed wojny i to chyba ciebie uratuje.

Słyszałeś co wartownik powiedział? „Do zobaczenia Širvydas," a więc liczy na suty napiwek, a ty myślałeś, że on ciebie nie rozpoznał. Grubo się mylisz.

Wrażenie opuszczenia ośrodka internowania było tak ogromnym przeżyciem, że nawet połowy słów wypowiedzianych przez swego wybawcę nie słyszałem – napisał ojciec w notatniku.

Pod wieczór wozak dobrnął do swej chałupy w starej rybackiej dzielnicy na obrzeżach Pałągi.

Mimo, że tęgi mróz szczypał w policzki a księżyc ubrał się w lisią czapę i zwiastował dalsze oziębienie to było mi gorąco, wspominał ojciec. Żmudzin też był uśmiechnięty i zadowolony. Zacierał ręce z dobrego interesu, który mu się udało zrobić pod koniec roku.

– Spał będziesz w stodole razem z końmi, tam jest dużo siana to ci będzie ciepło. Rano porozmawiamy – powiedział i poszedł spać.

Ojciec długo nie mógł zasnąć. Nie spał też woźnica, bo o północy przyszedł do stodoły. Usiadł obok przybysza, zapalił naftową lampę. Był ciekawy świata. Opowiedział o trudach swego życia na skraju wielkiej puszczy, której resztki rozciągały się nadal za jego ogrodem. Te bory żywiły jego rodzinę w czasach trudnych, a i teraz takie nastały.

– Za nami jest tu Święty. Gaj o trzech wzgórzach z najwyższą Górą Biruty- księżniczki pilnującej wiecznego ognia. W pobliżu

znajduje się ten twój ośrodek dla internowanych wojaków. W samym środku tego boru stoi pałac hrabiego Tyszkiewicza, a zachodnia część tej puszczy styka się z Bałtykiem.

Hrabia wybudował w morzu drewniane molo, bardzo długie, bo na ponad sześćset metrów. Mówię to dlatego, że przy nim będzie na ciebie czekał rybak. Musisz tam być wcześnie rano, kiedy wypływają łodzie na połów. Z nim będziesz umówiony przez leśniczego z Płoteli - Jonkajtisa, sprzedawcę skór i wyrobów z poroży na tutejszym targowisku. Jego konny wóz łatwo poznać, bo jest obwieszony futerkami bobrów i wilków, pełen różnych świeczników i innych wyrobów z poroży i beczkami z woskiem.

Następnego dnia z koszem pełnym chleba, przygotowanym przez Sirvydasa, ojciec powędrował na targowisko. Bez trudu odnalazł nie wóz, a sanie ze skórami zwierząt i Jonkajtisa, który to spodziewając się umówionego przybysza cicho zanucił melodię naszego hymnu kończąc wypowiedzianymi słowami:

– Gdy Żmudzini żyją.

Pomiędzy nimi od razu nawiązała się szczera przyjaźń i zrozumienie dla niesienia przyjacielowi pomocy, jak mówił handlarz i to na dłuższy czas, o czym wówczas oboje nie wiedzieli.

2. Wilczy Bród

Plany wypłynięcia w morze nie powiodły się, o czym powiadomiono następnego dnia Jonkajtisa. Niemcy przyłapali na rybackiej łodzi dwóch niedoszłych uciekinierów. Aresztowanych zabrali na swój kuter, a rybakowi zakazali połowów na pełnym morzu. W związku z tym należało się na razie wstrzymać z planami ucieczki.

Jonkajtis był prawym, spolszczonym Litwinem. Przyjął ten problem jako wspólny. Mówił, że trzeba jakiś czas odczekać. Będąc z początkiem grudnia w Kłajpedzie dowiedział się od rybaków, że w nadchodzącym roku wojska niemieckie zajmą jego kraj i problem sam zniknie.

– Ja ciebie, Stasys nie zostawię na pastwę radzieckiej trojki, czy Sulisów (strzelców). Niech ma cię Panienka z Ostrej Bramy w swej opiece – szybko dodał!

Problem dla handlarza i zarazem gajowego z Płoteli był nie lada ryzykowny, skoro kazał przyjść następnego dnia wcześnie z rana i być przygotowany na daleką podróż.

Wieści o blokadzie morza stały się ciosem dla planów przyszłych uciekinierów. A wałęsając się po obrzeżach Pałągi było tylko kwestią czasu, kiedy zostanie się aresztowanym i wysłanym na „białe niedźwiedzie”

W ten sposób Stasis czyli ojciec, znalazł się obok nowego woźnicy sanek wracających do Płoteli, a raczej wielkiej Puszczy Żmudzkiej, gdzie stał leśny dom Jonkajtisa, zwany „Wilczym Brodem”.

Tak jak w poprzednich dniach dalej panowały niespotykane od lat mrozy i śnieżyce. Obaj okryci w skóry i stare derki bocznymi drogami gnali saniami w śnieżnej kurzawie, niczym białe bałwany. Ręczę koniki w takt dźwięku dzwoneczków jeszcze przed tęczowymi barwami wieczoru minęły Płungiany. O dziwo, żadnej kontroli, żadnego sprawdzania na drogach - mieli po prostu szczęście!

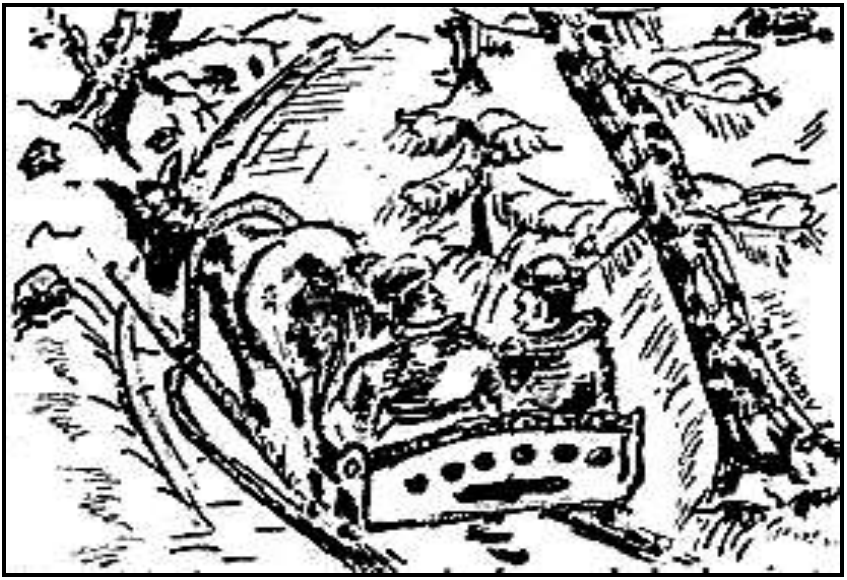

Zapadał zimowy zmierzch. Lasy obok drogi stały zgięte pod ciężarem grubej kiści. Śnieg tracił już różowy połysk i nabierał matowych cieni, kiedy sanie wjechały na odkrytą przestrzeń połyskującą pasami lodu.

Dotąd właściwie wiele ze sobą nie rozmawiali, a kiedy woźnica uznał, że są już bezpieczni, dźwignął się z siedzenia, otrząsnął śnieg i jakby zdwojoną energią powiedział:

– Stasis, ty będziesz spał od dziś ze żubrami!

– Jego współtowarzysz omal nie wypadł z sań.

– Jak to odezwał się – ty chyba żartujesz!

– Do miasteczka Plustine mamy już niewiele wiorst – kontynuował woźnica. Moje chata, jak mówią, leży na końcu świata, w Żmudzi.

– Rozmawiałby może dalej, ale naraz w tej ogromnej ciszy zaczął sypać śnieg. Wielkie śnieżne płatki powoli opadały. Czasem wydawało się, że tkwią nieruchomo w tym mroźnym powietrzu.

Żadnej, wioski, żadnej chaty, tylko warstwa świeżej śnieżnej ponowy i coraz więcej głazów pokrytych białym puchem.

Wjechali w las pomiędzy wielkie kamienie, pod oszronione sklepienia drzew z konarami pochylonymi ku leśnej drodze i zastygłymi w bezruchu gałęziami jodeł i świerków.

W miejscu gdzie kończył się wysoki bór, a droga biegła pod górę, przybywało większych głazów. Mróz przed nocą wzmagał się ostry, płozy sań skrzypiały i świszczały po lodowej drodze. Usłyszeli szczekanie piesków. Nic dziwnego, że z daleka wyczuły nadjeżdżające sanie. Głośno szczekając alarmowały mieszkańców leśnej chaty. A później, kiedy ich głosy zamieniły się w przyjazne skomlenie, wiedziano już, że wraca gajowy.

Tuż za strumykiem chwilę potem wyłoniła się leśna chata. – To jest „Wilczy Bród", mój przyjacielu, zamieszkały przez moją rodzinę od lat dwudziestych.

Obok nad samym strumieniem stała o wiele mniejsza drewniana chatka.

– To jest budan, gdzie trzymam koniki. To będzie twój dom – powiedział Jonkajtis.

– Wilczy Bród w Puszczy Żmudzkiej. W latach międzywojennych ściągał wielu pasjonatów przyrody i myślistwa. Dzisiaj ta część świata jest zapomniana przez Boga i ludzi.

„Na czas mojej poniewierki otrzymałem budan – zapisał ojciec, a w nim szerokie łoże, nad którym wisiały dwa popiersia żubrów, oprawione na tarczach. Jeden z nich, z utrąconym rogiem, wyglądał bardzo groźnie. Niepokojone tańczącym płomieniem naftowej lampy, cienie obu łbów rzucały na ścianę ruchome obrazy, stwarzając wrażenie ciągłej walki puszczańskich mocarzy.

Wielkie wygodne łoże, koński zapach i woń suszonych skór działały jak narkotyk. Po lipowej herbacie i pajbie chleba z miodem zakończyłem dzień pełen wrażeń i obaw o dalsze swoje losy.

Obolały od wstrząsów sań, wysmagany wiatrem i śniegiem już pewniej oczekiwałem na nadchodzące wydarzenia."

3. Wielki łupur

Przez prawie rok przyszło mi żyć z dwoma żubrami Radziwiłłów. Z czasem odkryłem, że oba trofea wiszące nad głową pochodzą z pałacu hetmana wielkiego Litwy, Mikołaja Radziwiłła z Birży i były podarowane Tyszkiewiczom. Oba miały już prawie nieczytelne napisy i prawdopodobnie pochodziły z końca osiemnastego wieku z puszcz południowej Litwy.

Vytautas Jonkajtis znał wszystkie drogi i bezdroża Żmudzkiej Puszczy. Nie lubił gospodarki, a kiedy był zły dzień na polowanie, gdy ryby nie wchodziły do sieci, lub nie brały na żywca i pasieki nie trzeba było doglądać, zanurzał się w budanie i majsterkował. Czyścił wilcze kły, robił naszyjniki i garbował skóry, z poroży powstawały świeczniki i krzesełka, laski, a nawet guziki oraz kieliszki. Wszystko po to, aby mógł pojechać na targowisko do Płungian, czy Pałągi i korzystnie wszystko spieniężyć. Często też swoje towary zamieniał na bryły jantaru, ryby, naftę i naboje do strzelby.

Po kilku dniach jego nieobecności, w Wigilię Bożego Narodzenia, kiedy rodzina udała się na pasterkę do Żmuckiej Kalwarii, Vytautas przyszedł do budanu. Przyniósł smażone ryby, nalewkę garnek miodu i wielki swojski chleb.

Rozstaliśmy się dopiero wcześnie rano. Wiedziałem już, że mogę, mu pomóc w jego warsztacie. On zaś zobowiązał się zaopatrywać budan w wilcze i bobrowe skóry, abym miał co robić, oraz dziczyznę abym nie był głodny.

Sroga zima jakby trochę zelżała. Dotąd zamarznięty na kamień śnieg zaczął robić się mokry i połyskiwać w słońcu. Wydawało

się, że zaczęła uciekać gdzieś ku mrocznym głębiom lasu, a delikatne ciepłe promienie muskały ośnieżone choiny.

Zwały śniegu ze świerkowych łap najpierw rosiły kroplami wody biały gładki śnieg, a potem spadały z wielkim hałasem pod drzewa. W końcu lutego powiewy ciepłego wiatru przeszły falami nad lasami obok Wilczego Brodu i je zazieleniły.

W taki to cieplejszy dzień do gajowego zajrzał Kiejstut, kolega Vytautasa, z propozycją otropienia wilków.

– Poprzedniej nocy – powiedział – cała wataha tych rabusiów zagryzła dwie jałówki w okolicach Plateliai.

Przybysz nie musiał długo czekać na decyzję gajowego.
Zimowa droga szerokim łukiem biegła przez bagienny las na Orlim Ostrowiu. Tam spodziewali się wilczej watahy, a przede wszystkim świeżych śladów na zaśnieżonej drodze. Zabrali ze sobą dwa pieski, cięte gospodarskie burki. Vytautas wziął też wysłużoną i wierną kurkówkę, załadowaną loftakami. Pieski biegły za saniami, które jechały przez las wśród karłowatych brzóz, porastających mokradła przy Orlim Ostrowiu.

Kiejstut sprawnie prowadził sanie. Vytautas mocno ściskał w dłoniach swą kurkówkę i bacznie obserwował śnieg, gdyż spodziewał się sznureczka wilczych tropów. Kiedy na chwilę zatrzymali sanie dla lepszego rozpoznania przesmyku, wśród drzew rozległo się szczekanie! Jeden z piesków biegnących za saniami dołączył do psiej muzyki i jękliwego ujadania.

Raptem obaj zobaczyliśmy pędzące na nich psy i puszystą w kudły wiechę - wściekły pysk wilka rwącego za nimi.

– Z przerzutu strzeliłem z obu luf opowiadał Vytautas – a siwa kłębiąca kula potoczyła się jeszcze parę metrów i zastygła w bezruchu. Przeładowałem błyskawicznie strzelbę, zeskoczyłem z sań i dobiegłem do wilka. Byłem gotów poprawić, gdyby próbował uciekać.

Kiejstut oniemiał z wrażenia. Huk wystrzału wystraszył konie. Szarpnięte sanie wpadły na pobocze i wtoczyły się pomiędzy gęstą samosiejkę. Woźnica nie panował nad saniami, bo wpatrzony był w drugiego wilka, którego gajowy dopiero dostrzegł, kiedy ten wpadał w las przy wyspie na Orlim Ostrowiu.

Długo przyglądali się wilkowi, który okazał się wielkim łupurem, o niebywale pięknym puszystym futrze. Był koloru szarobiałego. Latarnie miał wielką, podobną do lisa i śnieżnobiałe, groźnie wystające kły.

Sanie wróciły pod budan dopiero o zmierzchu. Rozpalono w kamiennym kręgu ogień. Brzozowe polana paliły się jak wielkie pochodnie i muskały przyjemnie ciepłem.

Ściągnięto z sań basiora i powieszono na stojaku tuż obok ogniska. Fetor od niego szedł okropny. Trzeba było wiele czasu, aby się do tego wilczego zapachu przyzwyczaić.

Mimo, że pod wieczór znów wzmagał się mróz, to przy ognisku było całkiem ciepło. W takich warunkach Kiejstut rozpoczął ociąganie łupura z futra. Znał się dobrze na tym rzemiośle, mimo to wiechę i łapy pomógł mu obielić Vytautas.

Futro było wielkie, gęste, wełniasto podbite, podobne do tego, które zawieszono na drewnianej ścianie budanu, jednak z ciemniejszą, szeroką pręgą, biegnącą wzdłuż grzbietu. Teraz rozłożono je na śniegu i przysypano końską śrutą oraz solą dla oczyszczenia kożucha, tuszkę zaś zaciągnięto za strumień, aby pozbyć się przykrego wilczego zapachu.

Jeszcze do późna w nocy biesiadowano przy ognisku, pieczonej dziczyźnie maczanej w miodzie z pasieki gajowego i ostrej, ziołowej nalewce.

4. Osacznik Kekstas

Płotele to największe i najważniejsze jezioro w Puszczy Żmudzkiej, choć pozostałe, a było ich ponad dwadzieścia, również były dzikie, urokliwe i pełne życia. To pierwsze miało trzy wyspy, które były matecznikiem ptactwa wodnego, ale gniazdowało tam też wiele rzadkich ptaków, takich jak bielik, czy orzeł krzykliwy, mieszkały żurawie, kormorany i czaple. Mniejsze jeziorka, rozrzucone pomiędzy mokradłami, były dla ludzi niedostępne. Na wielkich bagiennych mszarach i w niezliczonej ilości strumyków przebywały wydry, bobry budowały żeremia, a wśród wysepek zgraje wilków miały swoje legowiska.

Krystaliczne czyste wody obfitowały w wiele gatunków ryb, raki, a nawet żółwie.

Wśród tych dziewiczych borów naprzeciw Orlego Ostrowia do niedawna mieszkała rodzina Juozesa Kekstasa, która żyła z myślistwa, rybołówstwa i pszczelarstwa. Była uboga, pełna wierzeń bałwochwalczych i obaw przed przybyszami z zewnątrz. Jednak administracja jeszcze przed pierwszą wojną światową zmusiła wielu Żmudzinów do opuszczenia puszczy i osiedlenia się na jej obrzeżach: w Plostine, Stirbaiciai czy Płungianach. Podobny los spotkał też Kekstasa. Jednak nie mógł on zapomnieć puszczy i stąd często pomagał gajowemu w Wilczym Brodzie. Przy zwózce drewna na zimę, przy naprawie budanu zawsze miał dużo pracy. Jednak ceniono go najbardziej za znajomość tropienia wilków zimą, a na wiosnę podprowadzania strzelców pod tokujące głuszce. Jeszcze wcześniej dostarczył Vytautasowi wiele bobrowych

skórek i pomagał w pracach garbarskich, czym zaskarbił sobie jego wdzięczność.

Po ostrej, długiej zimie do puszczy zawitała wiosna, obudziła ptaki i zwierzęta, zazieleniły się mokradła, iwa ubrała w żółte bazie wabiąc dziesiątki barwnych motyli.

Wokół, w wioskach i miasteczkach mówiło się tylko o wojnie, a ludzie znikali bez wieści, wróżyło to źle Litwie.

Właściwie to dopiero od pół roku nie było w puszczy spokoju. Nie tak dawno gajowy zdjął z wnyka lisa, a na mokradle znalazł strzelonego przez kłusownika jarząbka. Te praktyki wydawały się wtenczas dość naturalne, bo wokół ludzie głodowali, a puszcza tak jak dawniej pomagała przetrwać licznym żmudzkim rodzinom, przypadkowym włóczęgom i wojennym uciekinierom.

W połowie kwietnia dość niespodziewanie do Wilczego Brodu przybył Kekstas. Był spragniony puszczy tak jak ćma światła. Śniła mu się ona po nocach, w dzień chodził podminowany i niespokojny, a wokół działy się rzeczy straszne. Kiedy tylko śniegi się stopiły wziął rozbrat z rodziną i przybył do swego przyjaciela w Wilczym Brodzie.

Jouzes nie zapomniał gdzie od dawna znajdowały się tokowiska głuszców. Teraz, kiedy już mu szedł siódmy krzyżyk zapragnął tak jak niegdyś udowodnić swą przydatność gajowemu i podprowadzić pod grające koguty. Ze dwa dni sam przesiedział w lesie, a kiedy był już pewien dobrych wyników, postanowił, podzielić się z innymi swoimi doświadczeniami. Zaproponował ustrzelenie nie jednego koguta. Twierdził, że nic puszczy nie ubędzie. Jak mówił, na Ostrowiu grało ich ponad pół setki.

Vytautas chętnie przystał na propozycje osacznika, gdyż uważał go za bardzo mądrego i doświadczonego, przy tym nie rzucającego słów na wiatr.

Puszcza przyciągała jak magnes. Każdego dnia przedwiośnia była coraz piękniejsza, dostojniejsza i ciekawsza. Wyczuwało się, że żyje swoim odwiecznym rytmem, a kiedy wiatr ustawał i nie

Nagle na wysokim lesie dostrzegłem żubrzycę.

Jedna z krów mnie zauważyła.

W takiej to atmosferze dojrzewali dwaj mocarze puszczy.

poruszał się najmniejszy listek, było słychać piski, cmokania, szczekanie, dalekie hukanie sowy. Wśród tych setek leśnych dźwięków z odległego Orlego Ostrowia płynęły też śpiewy głuszców. Bezwietrzne noce czasem przerywał hałas złowieszczy i przeraźliwy. Osacznik nazywał go głosami dawnych duchów, ludzi zastygłych w wielkich głazach licznie porozrzucanymi po puszczy. Wiedział jednak, że w tym momencie kończyło się życie słabszej istoty rozdzieranej przez wygłodniałą wilczą watahę.

– Do miejsca toków jest jeszcze kawałek drogi – wyszeptał osacznik.

Gajowy trochę się zmartwił. W butach miał już wodę, a ścieżka dalej prowadziła po coraz bardziej grząskim błocie. Po bokach stały rzadko sosny o wyschłych na pieprz ramionach, czasem wyrastał pagórek gęsto porośnięty sosnową szczotką, otoczony bagnem.

Naraz zatrzymało ich granie głuszców i to nie jednego, a kilku. Przeszli jeszcze ze dwadzieścia kroków. Na niewielkim wzniesieniu, wśród iglastej gęstwiny usłyszeli bicie skrzydeł, kłapanie, szlifowanie i znów zadziorny bój. Byli blisko walczących ze sobą ptaków, ale nijak dojrzeć nie można ich było. Koguty tłukły się tak zadziornie, tak opamiętale, że cały pagórek burzył się jak piana. Chwilami tylko, niczym czarne węże, wysuwały się szyje i głowy kogutów znad zielonego kobierca.

Widok ten nie pozwalał Vytautasowi na żaden sensowny strzał, gdyż ptaki były niewidocznym celem dla jego strzelby. Naraz jeden z większych kogutów z głośnym hałasem poderwał się i pofrunął, siadając na wysokiej sośnie. Musiał wyczuć niebezpieczeństwo. Z grubej gałęzi bacznie się im przyglądał, kręcąc jakby z niedowierzaniem swą czarną szyją. Teraz też opuściły pagórek pozostałe ptaki i zasiadły na pobliskich drzewach.

Ten pierwszy jednak zastygł w bezruchu. Jego czarna sylwetka z zarzuconym na plecy wachlarzem tego poranka znalazła się tle czerwono wschodzącego słońca. Rozległ się huk z Vytautasa

kurkówki. Ptak nie odfrunął. Trzymał się jeszcze przez chwilę gałęzi i wreszcie runął pod drzewo.

Osacznik uściskał gajowego i długo gratulował, mówiąc, że zaczął się szczęśliwy dzień. Znów przyłożył dłoń do ucha i po cichu wyszeptał:

– Gra następny!

– Wystarczy przyjacielu.

– To po co ja się tyle natrudziłem? zmartwił się Kekstas.

Oboje wyszli z ukrycia. Osacznik przyniósł ptaka. Powrócili na drogę i mimo, że kogut był wielki i ciężki nie pozwolił sobie jego odebrać.

– Popatrz, Stasis, co twój pan ubił.

Ptak był pięknie ubarwiony, przyroda obdarzyła go w cztery kolory, jakże trudne do pogodzenia ze sobą. Czerń delikatnie zlewała się z zielenią, błękit z brązem, a barwy te subtelnie połączyło marmurkowate nakrapianie.

5. Deportacja

Wanda, młodsza siostra Witolda (Vytautasa) była częstym gościem w budanie Polaka. Lubiła bardzo politykować. Często też tam do późna nie gasła naftowa lampa i prowadzono zacięte dyskusje. Czasem do nich włączał się brat Witold i wówczas stawały się jeszcze gorętsze i bardziej zażarte.

Przy kominku z paleniskiem i przy gorącym, czerwonym winie z dzikiego bzu z zacietrzewieniem udowadniali swoje rację.
Tematów dostarczało samo życie, które każdego dnia przynosiło nowe wydarzenia. Zdawało się, że o puszczy zupełnie wtenczas zapomniano. W Wilczym Brodzie panował pozorny spokój, ale poza nim w całej Litwie mówiono tylko o wojnie i o wyzwoleniu kraju z rąk bolszewików.

Wanda straciła męża w pierwszych dniach wojny. Długo w Płunginach czekała na jego powrót. Kiedy to nie nastąpiło na jesieni, tego gorącego na Litwie roku, przyjechała do brata i tak już tu pozostała.

Mówiła, że tam ludzie mieli wszystkiego dość, ciągłe kontrole, podejrzenia, znikanie co zacniejszych osób i zamykanie kościołów czyniło życie nie do zniesienia.

Przed końcem istnienia Litwy Radzieckiej po raz pierwszy ujrzeli hitlerowskie samoloty, które z charakterystycznym wyciem silników wysoko przelatywały nad Wilczym Brodem.

Wszyscy cieszyli się, nawet babcia Wilczewska machała przyjaźnie ręką, a ludzie wróżyli szybkie wyzwolenie. Byli święcie przekonani, że wreszcie na ich ziemi Niemcy zaprowadzą upra-

gniony porządek i sprawiedliwość. Polak trochę do ich stylu rozumowania nie pasował. Stale powtarzał, że się mylą i że nie będzie nic lepiej, kiedy Niemcy ustanowią tu swe porządki.

Nie potwierdzały to jednak wydarzenia, które się działy poza puszczą i na Litwie. Przed samym wybuchem wojny niemiecko-radzieckiej nasiliły się masowe deportację Litwinów w głąb Rosji.

W takich to nastrojach na tereny ich kraju wkroczyli naziści i od początku Litwini bratali się z nimi. Powstawały zbrojne formacje litewskie i osławiona Sauguma (policja).

Kiedy gajowy Jonkajtis powrócił z narady w Leśnictwie Płoteli dla Polaka zorganizował ostatnią pożegnalną wieczerzę z dziczyzną i czerwonym winem. Ich gość pożegnał się z rodziną gajowego, z bydanem i z żubrami, które towarzyszyły mu przez tyle miesięcy i, jak twierdził, strzegły go przed wrogami.

Nazajutrz o świcie odwieziono Stasia do miasteczka. Tam zgodnie z niemieckim rozkazem stanął przed hitlerowskim Forstverwaltungiem, tak jak wielu jego kolegów z okolic Puszczy Żmudzkiej.

Najbliższym transportem zostali odesłani do Kłajpedy. W obozie przejściowym dowiedział się, że niemieckie nakazy niszczyły nie tylko puszczę. Wysiedlono z niej pozostałą ludność, a chaty spalono. Strażnik litewski z Kretyngi opowiadał, że również Wilczy Bród został spalony i tylko pozostały tam kikuty zwęglonych kominów. Niemcy przystąpili do masowego wycinania drzew tak na terenach dawnej puszczy jak i Pałągi, gdzie robotnicy karczowali sławne sosnowe lasy Tyszkiewiczów.

Teraz na torach dworca kolejowego czekał długi towarowy pociąg z trzema wagonami wysłanymi słomą i jednym pustym. Do niego to ładowano sporo sprzętu kwaterunkowego, łóżka i materace z bocznicy kolejowej oraz dwie podejrzanie wyglądające skrzynie o załadunek których troszczył się młody niemiecki oficer. Pozostałe wagony napełniono masztowymi pniami sosen.

Do deportacji zgromadzono ponad sześćdziesięciu polskich rozbitków z zachodniej Litwy.

Mróz był niezbyt wielki, kiedy stanęli do apelu - jedni jeszcze w swoich starych mundurach, inni już w cywilnym przebraniu, pełni obaw i niepewności o dalsze losy

Trójka niemieckich żandarmów i młody oficer najpierw policzyli Polaków, a ponieważ wszystko się zgadzało nakazali odliczyć do dwóch. Potem przydzielono każdemu bochenek kumyśniaka, czarnego chleba z wojskowej piekarni, kostkę margaryny i papierowe pudełko sztucznego miodu, podobnego do słodkiego łoju.

Jedynki miały pojechać do Possessern, (Pozezdrza) a dwójki do Rastenborga (Kętrzyna) w Prusach Wschodnich.

Pociąg nie był uprzywilejowany, toteż często się zatrzymywał, właściwie jechał tylko nocami. Kiedy minął Memel (Niemen) od niemieckiego żołnierza Polacy dowiedzieli się, że jadą do pracy w firmie Zanndra, tego grzecznego blondyna, który stał na torach. Niemiecki wartownik był Ślązakiem, świetnie mówił po polsku, nazywał się Kocwaj i pochodził z Królewskiej Huty (Chorzowa). Był porządnym człowiekiem, nawet drugiej nocy przyniósł w puszce po masce przeciwgazowej butelkę litewskiej wódki i kazał się nią podzielić. Dla dwudziestu chłopów w wagonie przypadało zaledwie po naparstku. Ale butelka ta znacznie poprawiła wszystkim humory tego dnia. Od niego też Polacy dowiedzieli się, że jadą do pracy w miejsca zastrzeżone, a informacje te były objęte tajemnicą i groźbą sądu wojennego.

Minęli miasteczko Allenstein, gdzie odłączono jeden wagon. Ten, według informacji wartownika, miał jechać do Possessern, a dwa pozostałe do Rastenborga. Deportowani żołnierze z Litwy z pozostałych wagonów trafili do obozu przejściowego dla jeńców polskich w Rastenborgu, skąd wywożono ich do pracy w firmie Zanndra w Korsche, zajmującej się impregnacją drewna. Wytwarzano tam podkłady kolejowe i wożono je do Gierłoży nad jezio-

rem Dobskim, gdzie znajdowały się umocnienia wojskowe i Wilczy Szaniec, późniejsza kwatera Hitlera.

Byli traktowani podle. Zmieniło się to dopiero, po napaści Niemiec na Związek Radziecki, kiedy to firma „Askania Werke" zaczęła liczyć się z każdą parą zdrowych rąk, a obóz ulegał powolnej likwidacji.

6. Wilczy Szaniec

Na pozór firma „Askania Werke” była porządnym przedsiębiorstwem, przynajmniej jej wydział w Korsze, którym kierował inż. Zannder. Polacy otrzymywali tam za swą pracę wprawdzie niewielkie, ale zawsze regularne wypłaty.

Konserwowano tutaj drewno, które było przeznaczone do robót ziemnych i na podkłady kolejowe. Ludzie pracowali ciężko, truli się oparami karbolów impregnujących, ale nadzór był dość wyrozumiały i zachowywał się przyzwoicie.

Z suszarni drewno wywożono wagonami do oddalonej o zaledwie 10 km Gierłoży nad jeziorem Dobskim czasem do twierdzy gen. Von Boyen w Giżycku i dalej do Possessern, gdzie również budowano fortyfikacje.

Polscy pracownicy mogli zarobione pieniądze wydawać w wojskowej kantynie. W Korsze kupowali towary i żywność, stąd wielu z nich pomagało swym rodzinom wysyłając na święta Bożego Narodzenia paczki ze słodyczami, zabawkami i odzieżą. Ojciec też po tak długim braku kontaktu z rodzinom pierwszy raz przesłał jej paczkę, a w niej kartkę ze świątecznymi życzeniami.

Radość była wielka. Pomimo upiornej okupacji hitlerowskiej dowiedzieliśmy się, że żyje.

Zannder był przychylny Polakom. Często wykonywali wiele prac w jego ogrodzie i szli tam z chęcią. Dom Niemca stał na skraju lasu (pojezierze Mrągowskie), który słynął z wielkiej ilości zwierzyny łownej. Właściciel był zapalonym myśliwym, toteż jesienią widywano przed jego domem przygotowane do transportu okazałe byki. Ogromne jelenie, często osiemnastaki, nie należały

do rzadkości. Dom zdobiły myśliwskie trofea oraz kolekcja strzelb, piękne rysunki i obrazy z myśliwskiego, drewnianego dworu Wolfganga von Sauera, zbudowanego dla myśliwych zaopatrujących w dziczyznę kętrzyński zamek.

Polacy pracowali solidnie, ku zadowoleniu szefa. Ładowali ciężkie podkłady na kolejowe platformy, stale obserwowani przez niemieckich wartowników.

Kiedy front przesuwał się w głąb Rosji, strażnicy zostali wcieleni do wojska i więcej się nie pokazali. Wypadło czasem i polskim robotnikom konwojować i rozładowywać impregnowane drewno. Przechodzili przez kolejową wartownię, gdzie nawet grzebienie musieli pozostawić. Lokomotywa ciągnęła ociężałe wypełnione po brzegi wagony. Najpierw jechali gęstym lasem, później ciemnym tunelem. Nad torami wisiały siatki maskujące o oczkach wypełnionych żółtozielonymi barwami liści. Na odsłoniętych pagórkach w niebo sterczały dziesiątki zielonych armatnich luf artylerii przeciw lotniczej.

Pociąg wjeżdżał na boczne toru leśnej stacji kolejowej. Tam odpinano łańcuchy ściskające drewno i ludzie w ciągu godziny opróżniali cztery platformy przywiezionych wyrobów. Potem je starannie maskowali gałęziami i siatką.

W miarę szybkiego przesuwanie się frontu w głąb Związku Radzieckiego postępy wojsk niemieckich były widoczne na każdym kroku. Korsze było węzłową stacją kolejową, gdzie krzyżowały się drogi z zachodu na wschód i z północy na południe. Stąd można było tutaj oglądać każdego dnia czołgi, armaty i rozśpiewanych żołnierzy z akordeonami, ubranych w wyprasowane mundury, ogolonych, dbających o swój wizerunek. Nawet na transportowanych czołgach i samochodach zawieszali lusterka, aby kontrolować swój wygląd.

Miasteczko było udekorowane barwnymi plakatami żołnierzy rozdających chleb głodnym dzieciom na wyzwalanych terenach,

wielkimi afiszami czarnych cieni szpiegów i czekistów z czerwoną gwiazdą. Każdego dnia kolejki ludzi stały za mlekiem, chlebem, margaryną i marmoladą, a wszystko to było na kartki. Wieczorami miasto zupełnie zamierało. Zasłaniano okna, gaszono światła, tylko wzmożone parole policji kontrolowało ulice, dworce i nielicznych przechodniów.

Szybko okazało się, że polskie konwoje na plac budowy w Gierłoży były nie na rękę niemieckiemu dowództwu. Zwrócono na to uwagę szefowi firmy, a kiedy jeszcze na łuku szyn w miejscowości Kartschow (Kruszewiec) pękł łańcuch spinający bale i na tory wysypało się sporo podkładów, sprawa stała się głośna.

Konwojowania wagonów zakazano Polakom. Znów zastąpili ich żołnierze wycofani z frontu. Odtąd byli jeńcy obozu dla internowanych w Rastenborgu tylko rozładowywali cysterny, impregnowali drewno i nie wolno było pod żadnym pozorem opuszczać im firmy w Korsze.

Jednej soboty przed południem ojca wezwano do biura szefa. Był przekonany, że dalej będzie musiał odpowiadać na pytania związane z wysypaniem podkładów w Kruszewie, ale było zupełnie inaczej.

W biurze firmy przyjął go sam inż. Zannder. Kazał usiąść, poczęstował papierosem, a kiedy ten odmówił informując, że pali tylko fajkę, przystąpił do pytań. Był nadzwyczaj grzeczny. Prosił o relację z przebiegu pracy i przedwojennej jeszcze znajomości z dyrektorem Nehringiem, z cukrowni. Kiedy potwierdziło się to co chciał wiedzieć, oświadczył krótko: Pojedziesz na przepustkę do domu. Jeszcze dzisiaj wydam odpowiednią decyzję!

Taka informacja usłyszana w gabinecie samego szefa firmy, naprzeciw biurka nad którym wisiał portret samego wodza III Rzeszy, wydała się wprost nieprawdopodobna, aby mogła być prawdziwa.

Ojciec w ten sposób otrzymał trzydobową przepustkę na odwiedzenie rodziny. Jednak na stałe powrócił do domu dopiero na

przyszłe święta, przywożąc ze sobą list w zalakowanej kopercie do dyrektora Fabryki Cukru w południowej dzielnicy Inowrocławia, Leona Nehringa.

7. Żubry Radziwiłłów

Leon Nehring jeszcze od przed wojny był dyrektorem Cukrowni Mątwy, cenionym inżynierem mechanikiem. Jego umiejętności docenili także okupanci, pozostawiając go dalej na tym stanowisku. Był jednak przede wszystkim bardzo szanowanym przez pracowników za swą postawę wobec lokalnej społeczności. Przyczynił się do wzniesienia świątyni, którą za sumę 220 tys. ówczesnych złotych, wspólnie z zakładami „Solvaya", wybudował niedaleko obu zakładów. Ufundował dla tej świątyni także dzwony, które nazwał imionami swych trzech córek. Maria była największym, prawie siedemsetkilogramowym dzwonem, mniejsze to Rita i Celina.

Po wkroczeniu hitlerowców na te tereny kościół zamieniono na magazyn żywnościowy, to jednak dzięki odważnej postawie Nehringa udało się ocalić wszystkie dzwony. Jemu też należy przypisać uratowanie życia wielu Polakom, także zapobieganie zsyłkom rodzin do Generalnej Guberni.

Leon Nehring miał słabość do myślistwa. Do pracy w swoim zakładzie ściągnął swego dobrego znajomego i cenionego myśliwego Zanndra, ojca Rudolfa, który był teraz szefem oddziału firmy „Askania Werke" w Korsze

Jeszcze wiele lat przed wojną obaj uczestniczyli w polowaniach na ptactwo wodne nad Gopłem. Tam naprzeciw Mysiej Wieży szeroki pas trzcin wżynał się szerokim łukiem w grunta wsi Rzepowo, gdzie sołtysem był członek ojca rodziny. Niemal każdej jesieni trzciny te zalegały tysiące dzikich kaczek, kurek

wodnych, czapli i innego ptactwa. Po polowaniach urządzano sute pamiętne biesiady „U Sołtysa”.

Polowano też na rogacze w widłach jeziora Szarlejskiego i Noteci. Na podmokłych łąkach występowały prawie same bagienniaki o zmurszałych, skręconych parostkach. W lasach Miradzkich polowano na jelenie, a na bażanty i kuropatwy za ogrodzeniami zakładu. W dwójkę, Nehring i Zannder z wyżłami biegnącymi za powozem podjeżdżali pod Noteć i tak brodząc godzinami w buraczanych polach popisywali się swym łowieckim kunsztem.

Ojciec Rudolfa, był także kolekcjonerem broni myśliwskiej, stąd coraz to nowe egzemplarze sprawdzano w terenie.

Szybko nadeszły pierwsze pod okupacją święta Bożego Narodzenia. Niemcy wzmogli terror. Już od samej Wigilii autobusy z zamalowanymi wapnem szybami wywoziły z dzielnic miasta rodziny polskie. Dawano ludziom tylko pięć minut na ubranie się i spakowanie swego dobytku. Potem transportowano ich do bydlęcych wagonów na dworcu kolejowym. Niemcy mieli skrupulatnie sporządzone listy osób do internowania w głąb Generalnej Guberni.

W te najważniejsze dla polskich rodzin święta strach ogarniał wszystkich. Tylko czekano na spakowanych tobołkach na swoją kolejkę do wyjazdu. Praktyki takie trwały do końca stycznia, a potem opróżnione mieszkania zajmowali przybywający niemieccy osadnicy.

W każde następne święta Bożego Narodzenia praktykowano podobne metody zastraszania pozostałych jeszcze mieszkańców.

W fabryce Nehringa zaczęło brakować rąk do pracy. Stąd chciał on odzyskać, choć część dawnych swoich pracowników. Nawet dość skutecznie udawało mu się doprowadzić do powrotu wielu Polaków z zesłania, czy internowania, a nawet z obozów pracy. W ten sposób, poprzez syna swego przyjaciela Zanndra, udało się z obozu w Rostenborgu zwolnić kilku swych dawnych pracowników.

W piękny, wiosenny dzień ojciec z żelaznym listem swego szefa z Korsze trafił przed oblicze fabrycznego strażnika w portierni Zucker Fabryk. Nazwisko Nehringa było dla niego paraliżujące, szybko połączył się telegrafem z gabinetem domowym dyrektora.

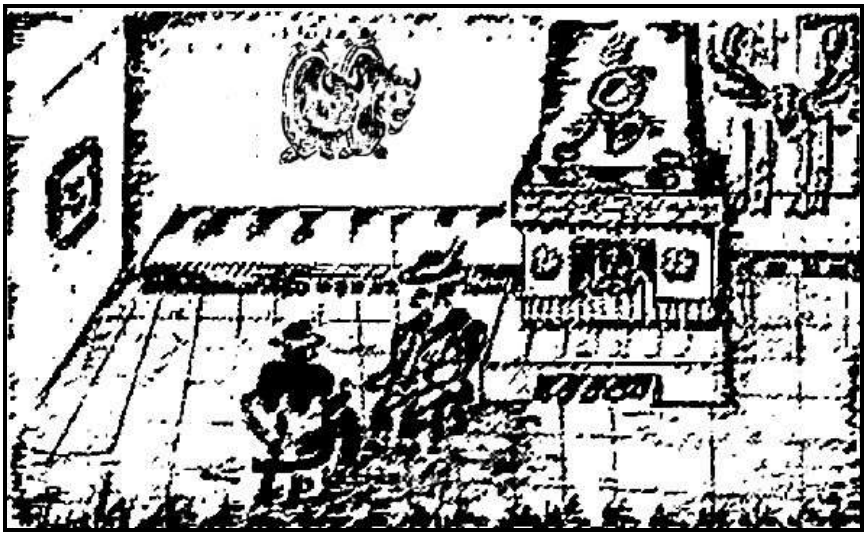

Otworzono parkową bramę, gdzie wśród wiosennej zieleni stał barokowy pałac Nehringów. Obok platanów, dębów i sędziwych lip błękitne jego ściany wydawały się olbrzymie na tle wiosennego nieba. Wysoki ceglany mur strzegł dostępu dla osób postronnych i ukrywał kręte ścieżki, kwiatowe bramki, klomby i pawie, który mieniły się barwami błękitu, podobnymi do pałacu.

Na tarasie jego już czekał kamerdyner, który bardzo grzecznie poprosił przed drzwi salonu myśliwskiego dyrektora. Ponoć przyjmował on tam tylko najznakomitszych gości.

Po chwili zjawił się Nehring. Trochę przybyło mu zmarszczek i siwych włosów, ale był w dość optymistycznym nastroju.

– Witaj przyjacielu – powiedział. – Twoje dawne stanowisko komendanta straży pożarnej jest zajęte, ale roboty mamy w bród.

Dyrektor żartował jak dawniej, ale jakoś nie kwapił się do otwierania wręczonego mu listu. Czekał na zamówioną kawę, a potem weszli do salonu myśliwskiego.

Naraz zaparło mi oddech - napisał ojciec w notatniku. Zrobiło mu się słabo. Zauważył to gospodarz. Natychmiast podał kawę i zapytał czy jest po śniadaniu. Kiedy potwierdził, że tak, dyrektor list spokojnie przeczytał i był zadowolony.

Kiedy jednak ojciec jeszcze raz spojrzał na ścianę, oczom swoim dalej nie wierzył. Wśród dziesiątków parostków rogaczy i jelenich wieńców w samym środku wisiały dwa medaliony potężnych łbów litewskich żubrów. Bacznie się im przyglądał, a kiedy dostrzegł, że jeden z nich ma odłupany róg, wiedział już, że są to eksponaty Radziwiłłów z Wilczego Brodu.

Kiedy znów na chwilę przymknął oczy zobaczył ponownie wiszące w budanie nad nim żubry, a potem podejrzane skrzynie na torach w Kłajpedzie.

Dyrektor wyczuł, że z gościem jest coś nie tak, bo zaproponował przechadzkę po tarasie. Skąd roztaczał się wspaniały widok na stare drzewa, gniazda czarnych gawronów, teraz szykujące się do wysiadywania jaj i budowania nowego życia.

W PUSZCZY BORECKIEJ

8.W krainie czterech rezerwatów

Puszcza Borecka, jest niezwykłym zakątkiem w północno-wschodniej Polsce. Gdy do niej wyruszałem spod Karkonoszy w górach świeciło gorące, majowe słońce, a przyroda budziła się do życia. Na Mazurach trwała wiosna. Obraz tamten z roku 1964 utrwalił mi się w pamięci na zawsze. Leśno-wodny krajobraz puszczy, potęgowany przez morskie słone wichry i pogłębiany zapachem zielonych lasów, działał jak narkotyk. Pobudzał do działania i orzeźwiał. To był kubek najwspanialszej kawy, którą przyroda swym powabem ofiarowywała każdemu kto ją odwiedzał.

Krainę tę ukształtował lodowiec, który przed 450 tysiącami lat po raz pierwszy wkroczył na obszar Polski i potem aż czterokrotnie przesuwał po niej swe lodowe czasze. Żłobił koryta rzek i wypełniał rynny, w których zastygał. Transportował głazy i ogromne bryły lodu. Potem bezładnie je porzucał.

Topniejące lody, deszcz i śnieg płynęły ku morzu, wymywały rowy i rozpadliny. Utworzyły labirynty i zaułki bez wyjścia, tworzyły jeziorka i błyszczące w słońcu oczka wodne.

Podobnie jak wysoko w Sudetach mogłem tej wiosny oglądać surowe lasy o barwach i kształtach Północy. W wyciśniętych przez lody niszach i rowach rosły podobne do tundrowej roślinność krzewy, przypominające nawet te z dalekiej Arktyki. Niektóre z tych roślin nie wycofały się wraz z lodowcem i pozostały w puszczy do dzisiejszych czasów i tym różnią ją od innych.

Na suchszych gruntach wznoszą się ciemne bory sosnowo – świerkowe, buki, dęby i jawory. Na bagnach olchy, brzozy i wierzby chwytają się w ramiona, przeplatają z oczeretami i dzikim powojem. Tworzą girlandy, pomiędzy którymi stoją prawie skamieniałe pnie sędziwych drzew. Zapach słonego i zbutwiałego drewna rozchodzi się od nich po całej puszczy.

Żyje tu bogaty świat roślin odpornych na działanie niskich temperatur i silnego wiatru. Zielenieją się ostre trawy i bielą się niczym ostatnie płaty śniegu delikatne kobierce przebiśniegów. Romantyczne wysepki porastają drzewa i odgradzają się moczarami. Gnieżdżą się na nich liczne gatunki ptactwa. Obok w bagnach i jeziorach mieszkają ryby i bobry.

W lasach pospolite są dziki, jelenie i sarny, do rzadkości należą mocarze puszczy: żubry i łosie.

W czasie pobytu w Puszczy Boreckiej, przy odrobinie szczęścia, mamy jednak szansę się z nimi spotkać.

Rezerwat Borki

W obrębie puszczy utworzono cztery rezerwaty. Borki to jeden z najstarszych. Pradawną atmosferę znajduje się tutaj w tajemniczych olsach, w starych drzewach rosnących nad zatopionymi dolinkami. Zarasta je roślinność bagienna, wiosną błotne niezapominajki i żółte kosaćce. Naprzeciw olśniewa lilia złotogłów i gnieźnik leśny, a dalej wonne marzanki i skrzypy. Grube pokłady torfu porastają bory świerkowe, pomieszane z sosną i brzozą. Wokół bagien zwracają na siebie uwagę ponad półtorametrowej wysokości paprocie.

Świat jest tu pełen kolorów, niespodzianek i zagadek, bogactwa ptaków, zwierząt i interesującej historii.

Rezerwat Lipowy Jar

Jest rezerwatem florystycznym, położonym w centralnej części puszczy. Utworzony został dla zachowania liściastych, prastarych lasów porastających strome wzgórza wznoszące się nad dolinami. Na spodzie jarów, wśród płynącego strumienia spoczywają olbrzymie głazy narzutowe porośnięte mchem. Na zboczach rosną sędziwe lipy, dęby, wiązy i klony, a w podszyciu: porzeczka alpejska, niezapominajki, fiołki i mchy.

Rezerwat Wyspa Lipowa

To maleńki florystyczny rezerwat położony na jeziorze we wschodniej części puszczy. Jest tak bardzo wartościowy, że dostępny jest tylko dla naukowców. Izolowany od lądu, stanowi rzadkie miejsce lęgowe dla wodnego ptactwa.

Rezerwat Mazury

Jest największym rezerwatem (293,2 ha). położonym pomiędzy jeziorami Szwałk Wielki, Pilwąg i Łaźno z trzema wysepkami. To kraina lasów liściastych, dębów, klonów, wiązów i grabów. W poszyciu leśnym sporo jest wiciokrzewów oraz wawrzynka wilcze łyko, który pięknie na czerwono zabarwia lasy wczesną wiosną. Wzniesienia pomiędzy jeziorami każdej wiosny są silnie podtapiane, a kiedy woda opada odkrywa trzciny i szuwary, wzbudzające podniecenie wśród wodnego ptactwa..

*

Mam wielki sentyment do Puszczy Boreckiej, gdyż wydaje mi się, że jest najdzikszą i najmniej zaludnioną w naszym kraju. Wystarczy popatrzeć na mapę, aby uzmysłowić sobie ten ogrom bagien i lasów. To cudowny twór natury stanowiący mieszkanie najpotężniejszego z naszych saków – żubra.

9. Leśniczówka Walisko

Można było dostać zawrotu głowy od szumu silnika i gorącego wiatru omiatającego nasz pędzący samochód. Auto pokonało dzisiaj trasę ponad ośmiuset kilometrów. W Giżycku dokonujemy ostatnich zakupów na kilkudniową traperkę po Puszczy Boreckiej i ruszamy w dalszą drogę. Słońce zachodzi już na krańcach jeziora Niegocin, ostatnie żaglówki chowają się po trzcinach, a te dalsze na wodzie rozbłyskują iluminacją świateł.

Wjeżdżamy na tereny dawnej Sudowi (Jaćwieży), w rozległy bagienny, puszczański obszar, gdzie do dzisiejszego dnia pozostały wybrukowane dukty i ślady starych grodzisk.

Naszym celem jest leśniczówka Walisko pana Dąbrowskiego i rezerwat ścisły żubrów. Daleko pozostawiliśmy Kruklanki, jezioro Gołdapiewo i osadę Podleśne, aby wjechać na tereny, bagien i torfowisk największego Rezerwatu Borki.

Z ulgą przyjmujemy kwaterę w stodole porządnie zbudowanej nad bagnem otoczonym lasem. Nie przeszkadza nam stojący obok stary, zdezelowany, metalowy, wiatrak, który pompując wodę skrzypi od najmniejszego podmuchu wiatru.

*

Przede mną płynie Czarna Struga - największa rzeczka rezerwatu. Na jej brzegach i nad puszczańskimi jeziorkami Szwałk Wielki, Litygajno i Pilwąg rozciągają się pola turzycowisk i situ torfowego, w których tego ranka wre bujne życie.

Po raz pierwszy w swym legowisku zobaczył gwiaździste niebo.

Puszcza Borecka przypominała żubrom tę z czasów dzieciństwa.

Urodził się nad Narewką w starej jagiellońskiej puszczy.

Dopiero co słońce podniosło się nad starodrzewiem, a już brzęczące chmary komarów siadają na oślizgłych od rosy pniach i kurzą skrzydełkami w pierwszych rozbłyskach światła. Falujące chmary niczym kłęby dymu płyną po puszczy szukając ofiary i biada temu, którego dopadną. W ułamkach sekundy obsiadają twarz i odkryte ciało, zasłaniają szarym kożuchem swych skrzydeł, a jeżeli ofiara się od nich uwolni zobaczy ogrom ukłuć i ran, na razie znieczulonych przez owady. Potem krwawią aż do bólu i wściekłości.

Po lesie łażę cały dzień. Trwa tu uczta dla wzroku i obiektywu aparatu. Odnajduje dziesiątki tropów saren, lisów, jenotów, jeleni, a nawet dzików i jeden łosia, ale ani razu nie spotkałem wielkich racic żubrów. Stało się to dla mnie zagadką. Zdałem sobie sprawę z trudności, jakie mnie czekają, aby tych dawnych mocarzy odnaleźć.

W niewielkim koloru złotego oczku wodnym pływała para perkozów dwuczubych z dwójką maluchów. Ich małe główki wystawały z kieszeni na grzbiecie obojga rodziców.

Przez tarczę słońca przelatywał orlik krzykliwy. Niósł w dziobie żabę. Zaniepokojony mą obecnością usiadł na gałęzi sosny. Chwycił szponami ofiarę i donośnym głosem, get get kli wiii - głosił swoje niezadowolenie. Obserwowałem go w lornetce. Był

wielki, ciemnobrązowy, nakrapiany, o złocistych nogach i czarnych szponach.

Kwakanie kaczek dochodziło zewsząd, a chór trzciniaków dawał prawdziwy popisowy koncert. Nagłe buczenie go przerywa. Nad trzcinami unosi się chmara szpaków, które zaległy tu na nocleg. Ich głośny szum skrzydeł wypłoszył czarnego bociana, który niezdarnie unosi chwyconą przez siebie rybę. Bystrym wzrokiem zerkał na mnie nim poszybował pomiędzy drzewa. Bacznie go obserwowałem, przy tym przegapiłem lot samczyka słonki, ptaka o długim, cienkim dziobie. Gdyby nie jego chrapnięcie „chworr" wcale bym go nie zobaczył. Przelatując nad mokradłem zrobił jednak trójkąt i pozwolił się obejrzeć nim wpadł w olsy.

Siedząc na pniu zauważyłem, że przyglądała się mi bacznie dużymi ślepiami żaba moczarowa, o niebieskim grzbiecie z jasnymi fałdami. Bardzo jest odważna i chyba odporna na niewygody, skoro można ją spotkać nawet pod kołem podbiegunowym i na dalekiej Syberii.

Powoli zbliżał się wieczór. Kiedy na ciemnym niebie ukazał się blady sierp księżyca na bagnach zagrały tysiące żab. Przede mną płynęła Czarna Struga, bagienna rzeka Puszczy Boreckiej.

Włóczęga po wiosennym lesie, mimo trudów i przemoczonych butów była, niezapomniana. Przy wolno zapadającym zmierzchu jeszcze zaśpiewał kos, a daleko na bagnach zatrąbiły żurawie. Potem puszcza należała już do leśnych łojm (diablic). Hałas na bagnach był tak ogromny, często przerywany piskiem, oszczekiwaniem, kniazianiem i porykiwaniami, że przy zapadającym szybko zmroku budził strach i przerażenie.

Przede mną był jeszcze spory kawał drogi powrotnej do leśniczówki. Kiedy pomiędzy trzcinami na bagnie zobaczyłem wyraźnie skradającą się ludzką postać, odzianą w kobiece szaty, przyspieszyłem kroku, a serce zaczęło mi walić w piersi jak młotem. Jeszcze raz spojrzałem na trzciny, nic jednak tam już nie było choć jestem odważny, tym razem się naprawdę bałem.

10. W czatowni

Był majowy, sobotni dżdżysty poranek. W budynku leśniczówki dyrektora Ośrodka Hodowli Żubra, pan Dąbrowski, urzędował już od wczesnego rana. Mimo to znalazł czas na przyjęcie mnie w swojej kancelarii. Była urządzona z wyjątkowym smakiem. Biurko i stół, przy którym siedziałem, były z czarnego orzecha, w kącie stary zegar, a na ścianie w złoconych ramach wisiały obrazy. Dwa z nich przedstawiały „Polowanie na łosie i wilki", Juliusza Fałata, a trzeci „Żurawie" Józefa Chełmońskiego. Wszystkie były wkomponowane w jelenie zrzuty i łopaty łosia. Również naftowa lampa osadzona została na szczycie zwieczonych trzech łopat.

Pan Dąbrowski otworzył wcześniej wręczony przeze mnie list polecający od redaktora Łowca Polskiego Józefa Szczepkowskiego i z uwagą przeczytał.

Mówił mi Nowak, dyrektor PGR z Doby, że szukasz pan spotkania z żubrami – powiedział. Wie pan, że to jest ryzykowne i niebezpieczne przedsięwzięcie! Ale skoro on mnie tak bardzo prosił, to coś zaradzimy.

Uśmiechnął się szczerze i dodał, że wiele zależy od szczęścia, bo te zwierzęta żyją na dużym obszarze puszczy i ostatnio rzadziej przychodzą na śniadania.

Byliście w ubiegłym roku w Dobie na chrzcinach? – spytał się dyrektor.

Potwierdziłem i dodałem, że wówczas fotografowałem kormorany na konkurs Łowca Polskiego i mieszkałem z tydzień czasu u Nowaków. W tym czasie były w jego rodzinie chrzciny i przy-

padkowo w nich uczestniczyłem. Przypomniałem, że syn Nowaków, Janek, jest zapalonym przyrodnikiem i żeglarzem, toteż razem pływaliśmy na ryby do Czarciej Wyspy i na Wyspę Kormoranów. Znał on świetnie jezioro Dobskie, Mamry i Kisajno, ptaki i zwierzęta Puszczy Boreckiej i wiele opowiadał mi o tutejszych żubrach.

Dyrektor był w dobrym humorze. Rozmowa widać go trochę bawiła, bo długo jeszcze o swoim koledze opowiadał. Nie mógł zapomnieć wielkich okoni, którymi go raczył dyrektor Nowak i smacznych węgorzy z tamtejszego jeziora.

Nasze spotkanie zakończył słowami:

– Do następnego razu. Wówczas porozmawiamy o puszczy, bo teraz mam rodzinę z Poznania. Przekażę pana strażnikowi bo i tak, kiedy mokrzy na dworze kapuśniaczek do lasu nie ma po co chodzić.

*

Gajowy wskazał mi niezbyt odległą czatownie tuż przy głównej bramie rezerwatu i powiedział, żebym tam deszcz przesiedział. Przy wyłożonej świeżej liściarce kręci się stary samotnik - wielki żubr. Ale czy akurat dzisiaj będzie mu się chciało tam pójść? Jest wygodny i leniwy. Choć żeruje i w dzień i w nocy to nie lubi być mokry.

Po południu deszcz przestał siąpić. Wziąłem najjaśniejszy teleobiektyw i poszedłem pod bramę rezerwatu, która robiła wrażenie prowadzącej do warownej twierdzy lub pogańskiego dworzyszcza w Biskupinie. Ostrokół był równie solidnie zbudowany jak brama, z grubych bali i desek, jakby za nim miało przebywać stado słoni. Odszukałem na szczycie płotu czatownię i wdrapałem się na nią. Była obszernym, zamaskowanym i wygodnym pomieszczeniem, ukrytym w koronie drzewa. Panowała tu cisza, nie było komarów i można było z niej spokojnie obserwować ogrodzony las.

Puszcza przede mną miała cechy starego, pierwotnego boru. Najbardziej w niej uderzała różnorodność typów drzew – od ogromnie starych okazów, do obumarłych i zbutwiałych ze starości wielkich pni, ale i pochylonych pod naporem silnych grzbietów żubrów odyńców i obielonych przez nie z kory.

Przy wąskiej ścieżce stały dwa olbrzymie drzewa, może ze czterdzieści metrów wysokości. Wiatr był słabiutki, nawet nie poruszał ani jednym ich listkiem. Nie było słychać tu tylu ptaków co wczorajszego dnia. Panowała cisza, przerywana odległym kuciem dzięcioła.

Dopiero pod sam wieczór pokazał się orlik. Płynął wzdłuż leśnej ścieżki, jakby spodziewał się tam spotkać dla siebie zdobycz. Z góry trudno mi było dojrzeć jakieś tropy zwierząt, ale ptak powracał kilkakrotnie nad leśny dukt. Widocznie musiał tam coś dostrzec.

Znów minęło sporo czasu, a nawet zrobiło się jaśniej, kiedy na leśnej ścieżce prowadzącej do poideł dla żubrów pokazał się lis. Kiedy podniosłem do oczu lornetkę, od razu zauważyłem swoją pomyłkę. Był to jenot, którego wytropił orlik i wskazał miejsce, na które należy zwracać baczną uwagę, z czego skwapliwie skorzystałem. Jenot kierował swoje zainteresowanie na podniebnego drapieżnika, a ja mogłem spokojnie w niego wycelować obiektyw aparatu. Było tu jednak zbyt ciemno, aby było można uzyskać poprawne fotografie.

Jenot przybył do nas z Mandżurii. Ma czarną pręgę wzdłuż grzbietu, puszysty ogon i długie bokobrody. Ten którego spotkałem odwiedzał wszystkie norki przy drodze, zaglądał do gęstych kęp trawy, szukał jaj ptasich. Wreszcie znalazł żabę. Rzucił nią kilkakrotnie o ziemię. Kiedy przycisnąłem migawkę aparatu, podskoczył jak rażony kulą i przestraszony pognał w zarośla.

Znów las jak przedtem ucichł. W czatowni trwałem dalej, niewidoczny z zewnątrz. Wciąż wierzyłem i miałem nadzieję na spotkanie z żubrem samotnikiem. Naraz obok pnia z gęstych paproci

wyszła sarna. Nerwowo obniżyła gwałtownie łeb, rozwarła szeroko gębę i węszyła chrapami. Nie podobało mi się jej zachowanie. Czyżby mnie odkryła, dostała ode mnie wiatr? Kiedy zmierzyłem do niej odległość i miałem przycisnąć spust migawki, usłyszałem z dołu wołanie strażnika: Halo, siedzisz pan tam jeszcze?

I ten dzień zakończyłem bez większego powodzenia, a żubry pozostawały dalej w sferze moich marzeń.

11. Osadnik Degutis

Dotąd żubry można było obserwować niemal każdego ranka przy żłobach w ośrodku. Przychodziły punktualnie po szóstej rano, a kiedy pojawiał się kierownik, było niemal pewne, że będzie Puszczan, największy odyniec Puszczy Boreckiej.

Opowiadał mi o tym osadnik Degutis, którego spotkałem w puszczy, kiedy zbierał chrust i ładował na dwukołowy wózek. Potem zaciekawiony tym co o żubrach wiedział szedłem razem z nim i rozmawiałem. Na błotnistej drodze jego konik sapał i stękał, choć do chaty już miał niedaleko.

Wileńskim akcentem opowiadał, że łatwiej spotkać ostatnio w tym lesie turystów niż żubry. Razem doszliśmy do jego domu stojącego na skraju boru, schludnego, z dwoma gniazdami bocianów na dachu. Ciągły klekot karmiących ptaków było już słychać z daleka.

– Niech pan się nie dziwi – mówił Degutis – Ja tylko z nimi rozmawiam, a one ze mną, bo sąsiedzi to przesiedleńcy z Bieszczadów, mówiący najchętniej po ukraińsku.

Poczęstował mnie filiżanką kawy zbożowej i narzekał na kierownictwo ośrodka, wypuszczenie żubrów do puszczy. Mówił, że wcześniej tych zwierząt nie znał, do ośrodka nie zaglądał, a kiedy jesienią wiózł siano i pękła konikowi uprząż, zszedł z wozu i oniemiał z wrażenia. Za jego sianem szły dwie rogate krowy. Przyglądał się im z niedowierzaniem. Nigdy przedtem nic podobnego nie widział. Wyciągnął z wózka bat i próbował je odepchnąć od siana. Nie pamiętał co się potem stało. Oprzytomniał dopiero

po paru minutach i z przerażeniem odkrył, że nie ma przy nim ani wózka, ani jego konia, który wystraszony podrałował do chaty.

Podejrzliwie pytał mnie czy aby nie jestem z administracji leśnej. Jak go przekonałem do mego tylko fotograficznego celu obecności w puszczy, zaczął narzekać. Usiadł na drewnianej ryczce. Mówił, że wszyscy z tych paru chałup w Leśnym Zakątku ucieszyli się, kiedy miano przewieść żubry w Bieszczady. Komuś zależało żeby pozostały. Podcięto już mocno przegniłe podpory ostrokołu, a żubry zrobiły resztę. Większość z nich znalazła się na wolności, siejąc strach wśród miejscowych chłopów. Administracja oczywiście też musiała dalej pozostać.

– Zawsze żyliśmy z puszczy, nie musieliśmy chować wieprzów, a i tak jadła miałem pod dostatkiem. A teraz ciągłe kontrole lasu, ekip weterynaryjnych, niespodziewane pojawianie się straży leśnej. Niedługo nie będę miał czym palić w piecu, a może nawet zakażą mi wchodzić do lasu. Dość często w tym terenie spotykałem Puszystego, który prowadza stadko krów. Kręci się też wokół niego kilka młodych byczków. Początkowo wywoływali wśród nas strach, ale zaczynają mnie teraz tolerować!

– Jak pan ma zgodę szefa Dąbrowskiego, to wskażę pewne miejsce gdzie można je spotkać?

Zanim rozstałem się z chłopem z Leśnego Zakątka, dowiedziałem się jeszcze o wiedźmie Pulinie, która straciła słuch i rozum, kiedy Niemcy uciekając wysadzili w powietrze kwaterę Himlera w Pozezdrzu. Ponoć teraz chodzi nocami po puszczy w towarzystwie dwóch wilków.

– Radzę też panu zmienić tę kurtkę z czerwonym kołnierzem – usłyszałem przestrogę. Żubry tej barwy nie lubią. Lubią jednak jak patrzy się im prosto w oczy, a jeżeli opuści się głowę to najczęściej atakują.

Tymi ostrzeżeniami Degutis napędził mi nie lada strachu. Pogoda się polepszała, chmury rozsunęły i pokazało niebo.

Należało wrócić do lasu. Wędrowałem puszczańską drogą z Leśnego Zakątka do Lipowego Jaru. Bacznie przyglądałem się wąskiej oddziałowej linii. Nawet miałem zamiar w nią skręcić, gdy nagle na wysokim lesie dostrzegłem żubrzycę.

Bacznie mi się przyglądała! Stałem jak słup! Nie powinna mnie wyczuć, bo wiatr miałem prosto w twarz. Kątem oka widziałem buhaja, o zbliżeniu się do nich nie mogło być mowy. Żubrzyca chyba udawała, że mnie widzi jednak stała jak kamień. Powoli wycelowałem pięćsetkę w jej brązowe futro i pośpiesznie przycisnąłem spust migawki. Powtórzyłem jeszcze raz to ujęcie. Naraz żubrzyca zrobiła kilka kroków do przodu i znów została trafiona przeze mnie. Odwróciła się i pognała, chowając się razem z bykiem w młodniku.

Byłem mokry od potu na rękach i szyi, obolały od bolesnych ukąszeń komarów, których tu były miliony. Szybko wyciągnąłem z plecaka moją kurtkę z czerwonym kołnierzem i zakładając powoli wycofałem się tyłem na linię jak borsuk, aby nie prowokować żubrów. Nadaremnie! Dalej ujrzałem ich całą chmarę. Jedna z krów mnie zauważyła, a może mój czerwony kołnierz, bo rap-

townie rzuciła się na mnie. Biegłem co tchu do drogi. Nawet nie wiem kiedy kurtkę zdjąłem i porzuciłem. Żubrzycy na szczęście za mną nie było, jedynie napędziła mi porządnego strachu. Wolałem szybko ten teren opuścić.

Pod wieczór lekki powiew podgrzanego powietrza znad Mamr zakołysał szczytami drzew i wtłaczał się do wnętrza boru. Zanim jednak poszarzało, jeszcze na niebie, niczym wielki szybowiec, kołował orzeł z białym lusterkiem na ogonie. To ptasi król Krainy Wielkich Jezior, a także Słowiańskiego Morza, do którego stąd było już niedaleko. Potężny Birkut – Łamignat płynął spokojnie nad lasami. Przede mną otwierała się szeroka przestrzeń pokryta tysiącami odcisków żubrzych racic, a w innym miejscu tropów dziczej watahy. Po obu stronach drogi stały drapaki objedzonych przez żubry olch, świerków i brzózek. Przypominały swym wyglądem odwrócone ku górze miotły.

Jeszcze na bagnie hukała sowa i spóźniony dzięcioł stukał o drzewo, kiedy dotarłem na kwaterę.

Byłem szczęśliwy, bo miałem pierwsze fotografie żubrów i zobaczyłem wielkiego byka. Przez ten widok tej nocy trudno mi było zasnąć.

12. Wiedźma Paulina

Dziwne to było, że swą chatę Degutis zamykał każdej nocy na żelazną sztabę i że to samo czyniono w leśniczówce Dąbrowskiego. Jeszcze z samego rana próbowałem się coś dowiedzieć o niezrównoważonej kobiecie, którą spotykano w tutejszych lasach. Nikt jednak na ten temat ze mną nie chciał rozmawiać. Szef zbywał mnie brakiem czasu. Widać, że nie chętnie na jej temat chciano mówić.

Zacząłem się zastanawiać, dlaczego wobec niej istnieje taka zmowa milczenia. Przecież w czasie mej wędrówki po puszczy mogę się z nią spotkać. Dlaczego powiedziano mi jak mam się zachować przy spotkaniu z żubrami, a nic nie mówiono o tej kobiecie i jej zachowaniu?

Tego dnia zgłosiłem w kancelarii moje wyjście z samego rana do czatowni na palisadzie ośrodka, a potem chęci pójścia nad jezioro Pilwąg. Dostałem zgodę!

Z czatowni, oprócz kruków, wiewiórki i parszywego lisa baraszkującego wśród skrzyń do transportu żubrów, nic innego nie widziałem.

Kiedy słońce zaczęło silnie dogrzewać nie było co tam robić. Ruszyłem poprzez Lipowy Jar nad jezioro, z myślą obserwacji kormoranów i czapli. Zatrzymałem się przy rowerzyście – wędkarzu, który łowił leszcze. Mówił niewiele, ale jakoś szybko przełamaliśmy pomiędzy sobą lody, kiedy nauczyłem go wiązać haczyki w nieznany jemu sposób. Chciał mi dać za niewielką odpłatnością swoje wszystkie ryby. Dla siebie, twierdził, będzie miał węgorze, które złowi na metalową siatkę zastawioną w trzcinach.

Zapytałem z ciekawości o Paulinę. Uśmiechnął się i był zdziwiony tym, że już mi o niej powiedziano. Od niego to dowiedziałem się, że mieszka w Rothenboude (Czerwonym Dworze), ale tylko zimą tam przebywa. Latem łazi po puszczy i straszy ludzi. Wprawdzie nikomu nie szkodzi, ale wyje i głośno płacze, bo jest niespełna rozumu. Mają leśnicy do niej pretensje, a napotkane dzieci i grzybiarze zabawę. Zarzucają jej ponoć spalenie pohitlerowskiego baraku w Wysokim Lesie przy bunkrach Himlera w Pozezdrzu.

Swego kalectwa nabawiła się w czasie wysadzania w styczniu 1945 roku przez saperów tamtej kwatery. Opowiadają, ze latem mieszka w tych bunkrach razem z dwoma wilkami. Włóczy się nocami, z żubrami jest za pan brat, po lesie pali ogniska. Chyba ma z czterdzieści lat i lubi też straszyć swą nagością.

– Degutis więcej panu o niej powie - dodał na zakończenie wędkarz, bo ona tam się ostatnio kręci.

Jezioro rzeczywiście było urokliwie, pierwotne i dzikie jak cała okolica wokół. Po obiedzie zasiadłem na zwyżce przytroczonej do starego dębu, którą odkryłem ubiegłego dnia. Pod nią i na brzegach torfowiska widoczne były dziesiątki odciśniętych żubrzych racic.

Tym razem ubrałem na siebie wojskową pelerynę w brązowe płaty i stałem się niewidoczny z zewnątrz. Moja czatownia położona była na wąskim przesmyku, gdzie prowadziły ścieżki leśnej zwierzyny. Szybko odkryłem czaplę siwą stojącą na jednej nodze po drugiej stronie wody. Potem na tym oczku wylądowało stadko kaczek i dwie linie na tafli wody pomarszczyły płynące szczury piżmowe lub bobry.

Kilkakrotne beknięcie na obrzeżach trzciny, w jego najgęściejszej części sygnalizowało obecność tam jakieś większej zwierzyny. Później głośne pluśnięcia upewniły mnie o obecności łosia w tym miejscu, a którego tropy tego dnia również tu znalazłem.

Potem nastała cisza i ptaki przestały śpiewać, aż do schowania się tarczy słonecznej za lasem.

Niespodziewanie na ścieżce wśród karłowatych sosen i świerków ujrzałem kobietę z głową okrytą chustą. Schylała się i kijem rozgarniała błoto na zwierzęcej ścieżce, znów się podnosiła i zerkała w moją stronę. Nie ruszałem się, a kiedy wziąłem do ręki lornetkę, zobaczyłem już tylko oddalającą się postać.

To była Wiedźma – pomyślałem! Na pewno bardzo nieszczęśliwa kobieta, która wybrała takie odludne życie w lesie. Na pewno mnie nie widziała, może spróbuje jeszcze tędy przejść? Nic jednak takiego się nie stało.

Przed samym zmierzchem zeszedłem z drzewa i odnalazłem miejsce gdzie stała. Znalazłem tam snopek chrustu, przewiązany szmacianym paskiem. Oddaliłem się na odległość wzroku i dalej trwałem aż do zupełnej szarości dnia.

Kiedy ruszyłem w powrotną drogę, poraził mnie płacz i kwik kobiety. Stała obok drzewa, teraz głośno krzyczała i bluźniła w niemieckim rodzimym języku.

Stchórzyłem. Obiecywałem sobie, że podejdę do niej jeżeli ją spotkam, ale teraz się nie odważyłem. Byłem zszokowany i wystraszony. Zrozumiałem, że jest nieszczęśliwa i rozsierdzona. Nie ma, co podgrzewać tej sytuacji – myślałem! Szarość wieczoru okrywała ją coraz bardziej. Spokojnie opuściłem las i straciłem ją z oczu.

Znów bałem się puszczy - nie tylko w niej żubrów, ale i Wiedźmy Pauliny!

Kiedy wróciłem na kwaterę nie chciałem już na jej temat rozmawiać. Moje przeżycia ze spotkania z nią były zbyt świeże i za bardzo kojarzyły się z nieszczęściem tej kobiety.

Mych zwierzeń ze spotkania z Wiedźmą wysłuchał jednak szef ośrodka. Był chyba zadowolony, że nie będę go więcej pytał o tą kobietę.

Degutis wiedział o mym spotkaniu z Pauliną. Mówił, że ona chciała ode mnie tylko zapałki, bo nie mogła rozpalić ogniska, a ja stchórzyłem oddalając się od niej.

– Mocno żałuję – odpowiedziałem, ale i tak w lesie nie miałem zapałek!

13. Puszczan

Puszczan pochodził z rodu Borusse, z żubrów z domieszką krwi kaukaskiej. Urodził się nad Narewką w starej Jagiellońskiej puszczy, uznanej za pierwszy park narodowy w Polsce.

Wśród bagiennych ols, na pagórkowatym wzniesieniu pod pniem szarej, omszonej brzozy i czarnej lipy po raz pierwszy w swym legowisku zobaczył gwieździste niebo Białowieskiej Puszczy. Tam gdzie ols przechodził w grond, w najdzikszej części puszczy rozciągała się wyschnięta kałuża. Każdego ranka oglądał na niej dziesiątki odciśniętych szpil, racic żubrów i tropów łosi. Widział rzeczy dziwne i frapujące. Jego wilgotne jeszcze świece patrzyły i rozpoznawały wilki, lisy, cietrzewie, czasem przychodził tam zająć bielak, raz nawet czarno-niebieski głuszec kwoktał naprzeciw jego leża. Nad nim każdego ranka czekotała też wiewiórka i obsypywała go nasionami i próchnem szyszek.

Jednego ranka nawet przyszedł bezszelestnie pod legowisko wielki żubr. Jego ogromny, rogaty łeb kołysał się w takt ciężkich kroków. Spod zwisającej czupryny spoglądał z niedowierzaniem na młodego ciołka. Łałok, obwisła skóra na szyi starego byka falowała z zadowolenia na widok dorodnego młodzieńca. Zadowolony z ojcostwa zastrzygł uchem i odwrócił się w bok. Chyba dostał jakiś obcy wiatr i ruszył w gęstwinę.

Przedświt szybko mijał i rozjaśniała się puszcza. Opadały mgły otulające kałużę. Słońce dźwignęło się nad las. Było zupełnie cicho i spokojnie, z dala miarowo szumiał wąski strumyczek. Gdy-

by nie te wstrętne muchy, byłoby całkiem u boku matki przyjemnie - rozumowało cielę.

Puszczan wyrastał na kapitalnego byka, a ponieważ miał kaukaskie geny, także na bardziej dzikiego niż jego pobratymcy z Białowieskiej Puszczy. Z krową odbywał dalekie przechadzki po krańcach puszczy. Nigdy jednak nie zbliżał się do paśników. Nie znosił zapachu człowieka i unikał go z daleka. Nie tolerował nawet koni, którymi rozwożono lizawki i karmę do żłobów. Kiedy nastała sroga zima i rozpoczęto dokarmianie żubrów, on z matką jako jedyny zawsze z daleka chadzał za stadem i nie chętnie zbliżał się do wyłożonych snopów siana.

Tak panicznie bał się ludzkiego zapachu, że coraz bardziej uniezależniał się od tolerancyjnej matki. Stawał się nieufny. Jednak zadziwiająco szybko rósł i z czasem stał się mocarzem puszczy.

Kiedy go nazwano „Puszczan" nikt już nie pamiętał, ale przydomek ten pasował do jego zachowania, postępowania i trybu życia poza stadem! Ciągle przemierzał ostępy w skrytości i z dala od siedzib ludzkich. Stąd stał się dość uciążliwym, nie wygodnym dla potulnych stad w Białowieskiej Puszczy.

Gdy zaś zorientowano się, że prowadzi ciągłe walki o prym i przywództwo z dotąd spokojnymi buhajami, które teraz chodzą przez niego okaleczone, często z odłupanymi rogami, szybko postanowiono go się pozbyć!

Był wówczas w średnim wieku, jednym z największych prawie dwumetrowej wysokości żubrem w puszczy. Kiedy stado zaczęło się rozrastać i puszczy nie starczało dla wszystkich jej mieszkańców, postanowiono przesiedlić nadwyżkę zwierząt do innych rezerwatów w kraju i za granicą.

Pomimo swej dzikości Puszczan dał się schwycić w szydło – zwężający się korytarz zakończony klatką - pułapką, o furtach i zapadniach opuszczanych na linach. Klatka była tak wąska i ciasnej, że na nic przydały się teraz jego mocne mięśnie i rozjuszony charakter!

Ściśnięty ze wszystkich stron trafił do Puszczy Boreckiej, gdzie pośpiesznie utworzono Ośrodek Hodowli Żubra. Razem z nim trafiło tam też parę krów, które miały temperować jego burzliwy charakter.

Puszczan od razu stał się tu atrakcją numer jeden, a dzięki niemu o Puszczy Boreckiej stało się głośno.

Osadzony w 1956 roku w zagrodzie kierownika ośrodka pana Dąbrowskiego, przez pierwsze tygodnie obchodził wkoło wysoką palisadę. Nie jadł i marniał. Nawet myślano o jego zwróceniu Białowieży. Wydeptał wokół ogrodzenia sporą ścieżkę, kiedy uznał, że nie ma stąd ucieczki. Stał się nieuciążliwym samotnikiem, pożerającym wielkie ilości owsa i siana.

Był wówczas piętnastoletnim wielkim żubrem, wyobcowanym ze stada. Często widywano go w towarzystwie syna Puszystego, który wyrastał przy nim na godnego następcę. Jednak nigdy się nie pogodził z utratą swej wolności.

Kierownictwo Ośrodka jednego dnia odkryło, że dotąd nie sforsowana palisada i potężne podpory ją podtrzymujące runęły pod naporem byka. Znalazł on w ogrodzeniu najsłabszy punkt

i swym wielkim cielskiem sforsował dotąd niezniszczalną palisadę, przewracając ją na kilku - metrowej szerokości. Na wolność wyszedł nie tylko Puszczan, ale jeszcze kilka żubrów.

Konsternacja w administracji Ośrodka była wielka, jednak ów mocarz nigdy już nie pozwolił się zapędzić za płot i zamknąć w rezerwacie. Stał się symbolem żubrzej wolności w nowej puszczy. Chadzał po jej obrzeżach, nikomu nie wadził, zaprzyjaźnił się z łosiami i jeleniami, ale też poznał Leśną Wiedźmę. Pozwolił się podejść Degutisowi i z jego ręki jadł marchew.

Nie krył się przed ludźmi. Był statecznym, dumnym i spokojnym bykiem. Z ciekawości podchodził też pod dawną zagrodę, gdzie go przetrzymywano i gdzie spędził tyle lat.

W czasie jednego z tych spacerów spotkał przed rezerwatem kierownika ośrodka i nie wiadomo dlaczego pogonił go zdrowo. Ów nieszczęśnik, ratując swoją skórę, w ostatniej chwili wskoczył na drabinę palisady i mokry ze strachu dopadł czatowni. Potem tyko mógł się domyślić co by się z nim stało, kiedy byk doszczętnie rozwalał drabinę i jej podpory. Chyba w ten sposób zaprezentował przyjaźń do swego szefa, a być może
wyczuwał z jego strony jakąś w przyszłości dla siebie przykrość.

Bardzo się dziwiono jego postępowaniu wobec wieloletniego chlebodawcy, tym bardziej, że inne osoby Puszczan tolerował i darzył bezgraniczną przyjaźnią.

Naraz zdarzyła się dla niego rzecz straszna, której on wielki władca puszczy, nie mógł przewidzieć, choć w swym kudłatym łbie wyczuwał jakieś nieszczęście. Chował się przed ludźmi w zielonych mundurach i nie pokazywał tygodniami. Nawet przypuszczano, że opuścił puszczę i przeniósł się na północ, do Puszczy Romickiej, a może nawet na Litwę.

Nieubłagany koniec jego panowania zbliżał się jednak dużymi krokami i to dzięki przypadkowi, jakich w życiu jest wiele.

Puszczan miał po prostu pecha!

*

Jego dawny kolega Pulpit, przesiedlony w Bieszczady, nie pogodził się z swoim losem i na własną rękę postanowił wrócić do nizinnej puszczy. Ruszył w powrotną wędrówkę w okolice swego szczęśliwego dzieciństwa, wywołując panikę i ciekawość przy drogach, którymi szedł. Ludzie częstowali go wszystkim, co tylko chciał pożreć. Na miejskich targowiskach przyjmowali go jak swego gościa, częstując przysmakami, jakich w życiu nigdy nie jadł.

Dla bezpieczeństwa zdecydowano się wówczas na jego odstrzelenie. Ale ludzie, którzy się z nim spotkali, nie pozwolili na taki okropny i niesłuszny wyrok. Zaprotestowali i buntowali się, pisali do gazet, radia i telewizji. Sprawa stanęła na ostrzu noża, kiedy jakiś bogaty biznesmen zachodni wykupił z nadleśnictwa odstrzał na Pulpita.

W końcu żubr został ułaskawiony pod naporem ludzkiej determinacji! Trafił do puszczy w Niepołomicach.

Problem jednak pozostał. Odstrzał był sprzedany i ważny. Wówczas zadecydowano o odstrzeleniu w zamian niego Puszczana!

7 stycznia 1967 roku gazety napisały, że Puszczan, władca Puszczy Boreckiej, padł od kul bogatej pary.

14. Imperatorzy puszczy

Do Ośrodka Hodowli Żubra w Borkach trafiło z Puszczy Białowieskiej w roku 1956 para żubrzyc - Puzorka i Poszynka oraz jałówki - Puszka i Punita.

Puszcza Borecka do złudzenia przypominała żubrom tę z czasów swego dzieciństwa. Stąd szybko ją zaakceptowały i wydały w niej nowe, zdrowe żubrze pokolenia.

W starej puszczy po przewlekłej, srogiej zimie nagle wybuchła wiosna. Ubarwiła bielą zawilców, szafranem przylaszczek bagna i strumyki oraz pierwszą zielenią lasy rojsty.

Wszystko wokół kazało myśleć o życiu.. Kiedy słońce pierwszymi promieniami ogrzało legowiska dopiero co przyszłych na świat cieląt, przyroda oszalała! Uroczyście obchodziła święto wiosny!

W takiej to sielankowej atmosferze dojrzewali dwaj mocarze puszczy - Wielki Puks z wybranką Puszką i Puszysty, którego protoplastą był sam Puszczan, z przewodnicą Pozorką.

Po odejściu z Puszczy Boreckiej jego ojca oba byki bacznie się obserwowały. Na razie tylko próbowały pozyskać na swoją stronę jak najwięcej krów. Jednak z czasem dochodziło między nimi do aktów zazdrości, już nie tylko o wielkość stada, ale i o terytorium oraz kuprzyska.

Było teraz tylko kwestią czasu, kiedy pomiędzy oboma mocarzami dojdzie do otwartego starcia.

Degutis opowiadał mi, że w puszczy działy się rzeczy dziwne i niezrozumiałe. Dotąd spokojne stada stały się bardzo nerwowe.

Ujrzałem ich całą chmarę.

Niebezpieczeństwo dla żubrzej chmary nie pochodziło z zewnątrz.

Prezentował się wspaniale, bo stawka była wielka.

Wprawdzie najpierw uciekały przed człowiekiem, ale potem próbowały atakować wszystko co się tylko poruszyło w lesie.

Jechałem z nim dwukołowym wózkiem. drogą pomiędzy bagnami w Lipowym Jarze, kiedy nagle konie stanęły dęba. Na kupie chrustu z powalonych drzew zauważyliśmy uciekające dwa wilki, które wcześniej ciągły sarnę. Porzuciły ją i czym prędzej oddaliły się na bezpieczną odległość i na pewno nas obserwowały.

Degutis przywiązał lejce do sośniaka stojącego obok wózka. Bez namysłu wskoczył w lodowatą wodę i poszedł zobaczyć ofiarę. Nie było mi do śmiechu brodzić po pas w kałuży, aby przejść na twardy grunt. Po jego powrocie dowiedziałem się, że wilki zagryzły kilka dni wcześniej malutkiego rogacza i teraz transportowały go w leśną gęstwinę.

Nie było to jego pierwsze spotkanie z wilkami. Zapach żubrów wabił je tak silnie, że trzymały się tu dwie duże watahy. Krążyły pomiędzy jeziorami Dargin, Pozezdrzem, jeziorem Gołdapiewo i bagnami w Borkach.

Pełno było ich tropów wzdłuż ogrodzenia i płotów rezerwatu żubrów. Kiedy ubiegłej wiosny zrobiły wielkie podkopy pod jego palisadą, straż leśna musiała użyć strzelb dla ich wypłoszenia. Stąd stale remontowano czatownie i pilnowano rezerwatu przed wilczymi zgrajami.

Jednak niebezpieczeństwo dla żubrzej chmary nie pochodziło wcale z zewnątrz, ale z wrogiego nastawienia do siebie obu stadnych buhajów najbardziej jednak z powodu zazdrości Puksa o swą wybrankę Puszkę, do której coraz częściej dostawiał się Puszysty.

Z początkiem zimy wyglądał okropnie. Liniał, a jego sierść pokrywały zwały zbędnej kądzieli, którą teraz znaczył pnie starych drzew. W lesie gorzko było od zapachu jego piżma.

Kiedy nastało gorące lato i okres sierpniowej rui, krew w żyłach obu mocarzy pieniła się okropnie z namiętności. Puszysty po puszczy chadzał jak w letargu, prawie pijany. Jego oczy, dotąd brązowe, zabarwiły się na czerwono. Wyrywał drzewa z korze-

niami i łamał konary. Na rogach nosił gałęzie i iglaste drzewka, dawał pokaz swej władzy i potęgi wśród stada.

Teraz obaj imperatorzy przybrali na siebie jakby szaty godowe. Czarne rogi rozstąpiły się im znacznie, powiększyły zwisające pod łbami brody, które błyszczały czernią i zaświadczały o ich sile. Garby zwiększyły się i pokryły gęstą zwichrzoną kądzielą, owłosione nogi czarnymi, błyszczącymi kopytami.

Prezentowali się wspaniale, bo i stawka była wielka. Przecież chodziło o prym przewodzenia chmarze dwudziestu czterech żubrów zamieszkujących w Puszczy Boreckiej.

Z początkiem września Puszka z Pozorką poprowadziły swych wielbicieli i mocarzy na miejsce walki o prym we władaniu puszczą. Razem z nimi szło też całe stado pozostałych żubrów.

Kto by tę leśną karawanę wówczas obserwował nie domyśliłby się, że podąża ona na ostatni bój w tej puszczy! Na miejsce pojedynku obie przewodnice wybrały wilgotny, ocieniony stary las na skraju puszczy, przy Czarnym Potoku, plac uświęcony wcześniejszymi walkami i krwią Puszczana z wilkami, których on nie cierpiał.

Kiedy tylko wstał nad lasem świt obaj rywale i podzielone stada stanęły naprzeciw siebie, odgrodzone od siebie tylko leśnym strumieniem. Puszka i Pozorka podeszły tuż pod samą wodę, zachęcając oba byki do walki.

Puszysty zachowywał się niespokojnie. Bił kopytami o ziemię, aż leciało błoto i kamienie. Na widok rywala wściekłość narastała w nim straszna, coraz częściej pochylał się, brodę tarzał w błocie i bliżej podchodził.

Oba stada z niecierpliwością i pokorą czekały na wynik tej walki i wybór imperatora. Puks zachowywał się bardziej ugodowo, jakby przeczuwając swoją klęskę. Nie drażnił przeciwnika. Był młodszym bykiem, chyba jednak bardziej wysportowanym od rywala. Wyraźnie nie chciał walki z tym kaukaskim rywalem, ale nie mógł sobie pozwolić na upokorzenie przed stadem i swą oblubienicą. Swoje odejście z pola walki by uznał za klęskę.

Niespodziewanie, niczym huragan przeskoczył strumień Puszysty i zadał potężny cios swemu rywalowi, aż ten przysiadł na zadzie. Boleśnie odczuł cios, jednak w porę podniósł się i następny go już ominął. Późniejsze zwarcia obu imperatorów były tak potężne, że obaj padali na kolana i nie byli w stanie prowadzić dalszej walki. Okaleczeni dowlekli się do pagórka i długo tarzali w piachu, aby zalepić krwawiące rany przed natrętnymi muchami.

Pod wieczór Puks zebrał swoją chmarę i wybrankę Puszkę i poprowadził do bezpiecznej ostoi w rezerwacie, gdzie było zapewnione pożywienie - owies i siano. Tam nie zagrażały im wilki i na pewno szczęśliwie żyją do dziś.

Puszysty wybrał inną drogę. Po wyleczeniu się z ran razem z Pozorką objął we władanie leśne stado żubrów, które nigdy nie podporządkowało się służbie leśnej, ani nie chciało zawrócić do rezerwatu. Pozostało dzikie, podobnie jak wcześniej ich protoplasta Puszczan.

Obaj imperatorzy pozostali przy swych stadach, choć jeden na zupełnej swobodzie, a drugi wybrał rezerwat i opiekę człowieka.

W PUSZCZY PISKIEJ

15. Rydelek - mazurski Harnaś

Dawna Puszcza Jańsborska, dzisiaj Puszcza Piska, to największa leśna kraina na Mazurach i na pewno największy kompleks lasów w kraju. Swą nazwę zawdzięcza rzece i miastu Pisz, co oznaczało w języku dawnych mieszkańców tych terenów Prusów - „bagno". Rzekę nazywano Piszą. Jest dzika, o trudno dostępnych bagnistych brzegach. Lasy wokół zwane są często Wielką Puszczą lub Puszczą Jańsborską, od krzyżackiego grodu Jana - Jansborg wzniesionego w XIV wieku.

Przez długie lata Polska pozostawiała puszczę „na uboczu". O dramatycznych dziejach tej ziemi pisał jeszcze przed wojną Melchior Wańkowicz w książce „Na tropach Smętka".

Polacy żyją w tych lasach od ponad siedmiuset lat. Doświadczali sporo, wojen, pomorów i pożarów, lecz dzięki temu stali się mężni i zahartowani na niedostatki życia. Przetrwali najsilniejsi. Do takich mocnych ludzi należał król zbójecki, legendarny „Rydelek" - mazurski Harnaś, który na początku osiemnastego wieku „władał" puszczą Jańsborską.

W tym czasie Pisz pustoszyła epidemia dżumy. Z 1200 jego mieszkańców pozostała zaledwie garstka. Jakieś złe fatum wówczas padło na to miasto. Trzy kolejne pożary zniszczyły sporo zabudowań. Pozostała jednak krzyżacka warownia Jańsborg, baza wypadowa przeciwko sąsiadowi – Litwie.

Krzyżacy na wyprawy na Litwę potrzebowali wielkich ilości jadła, skór, smoły i drewna. Łupili pozostałych przy życiu miesz-

czan, a kiedy to przestało wystarczać zaczęli zaglądać do puszczy. Na chłopów nakładano daniny i podatki - na miód, mięso, skóry, smołę i węgiel, a także bobry i ryby. Dwa razy tygodniowo wozy zwoziły z puszczy odebrane towary, a tych, którzy z poleceń się nie wywiązywali chłostano pod pręgierzami lub wywożono do zamku. Opornym palono chaty, a niekiedy podstępnie ich uśmiercano.

Kiedy już wydawało się, że puszcza zupełnie opustoszeje, nie tylko z niedźwiedzi i żubrów, ale i ludzi, pozostali przy życiu wybrali na swego króla Rydelka - barczystego chłopa, który umiał przewrócić w borze niedźwiedzia, a nawet wielkiego łosia. Król zbójecki stał się ich przywódcą i mężnie stanął w ich obronie. Wraz z bartnikami robił coraz więcej zasadzek na konwoje wywożące z puszczy daniny. Sławny taki napad miał miejsce nad rzeką Barłogą przy dworzyszczu Wilka. Tam Rydelek ze swą

siedmioosobową zgrają rozgromił prusacki konwój i odebrał zrabowane towary. Ten zuchwały wyczyn rozniósł się szybko po puszczy i przyczynił się do większego oporu przeciw grabieżcom.

Król zbójecki Rydelek stał się uosobieniem dobra i sprawiedliwości. Dla Prusaków był nie lada utrapieniem, jednak nigdy nie dało się go uchwycić.

Dzisiaj puszcza nie jest tak wielka jak dawniej, ale nie zmienił się jej charakter. Dalej jest uosobieniem piękna i niebezpieczna. Jest przede wszystkim wielkim gospodarstwem łowieckim. W jej najpiękniejszej części, na skrzyżowaniu Wielkich Jezior Mazurskich utworzono Mazurski Park Krajobrazowy. Powstało też wiele ścisłych rezerwatów, a w przyszłości ma być utworzony park narodowy obejmujący resztki naturalnych drzewostanów.

Na obszarze dawnej puszczy znajduje się siedem rezerwatów przyrody: „Czapliniec", „Jezioro Łuknajno", „Jezioro Warnołty", „Jezioro Lisunie", „Strzałowo", Królewska Sosna" i „Zakręt". Są też rezerwaty krajobrazowe: „Jezioro Nidzkie" i faunistyczny „Czapliniec – Ławny Lasek"

Choć dziś już nie żyją też tury i żubry, to do puszczy powróciły łosie, bobry i tarpany. Mieszkają: wilki, jelenie, dziki, na obrzeżach - sarny, kuny, lisy i jenoty. Na niebie można zobaczyć orła przedniego i bielika, nad wodami liczne kolonie czapli, na bagnach - żurawie, łabędzie i gęsi.

Przede wszystkim zaś Puszcza Piska jest atrakcyjnym terenem wypoczynkowo – turystycznym. Podczas wędrówki pieszej, wycieczek kolarskich, spływów kajakowych lub żeglarskich musimy pamiętać o konieczności zachowania ciszy i bezwzględnie przestrzegać rozpalania ognisk, a nawet palenia papierosów.

Najefektowniej prezentuje się Puszcza Piska każdej wiosny, kiedy trwa święto życia i jesienią, kiedy zmienia barwy z zielonych na żółtozłote.

16. Tarpany

26 czerwca 1972 roku w autokar dowiózł nas do Iznoty nad Krutynią i Bełdanami. W planie tego wieczoru mieliśmy jeszcze przepłynąć jezioro do bazy naprzeciw przystani Kamień. Tam Jurek wcześniej przygotował biwak z kilku namiotów dla załóg jachtów Tahiti i Bora Bora.

Stanowiliśmy dwa zgrane, czteroosobowe zespoły. Nasza czwórka to zaawansowani amatorzy fotografii, nie licząc Krzyśka - komandosa i żeglarza, przyzwyczajeni raczej do wędrówek po górach niż pływania. Teraz zdecydowaliśmy się sprawdzić swe traperskie możliwości w mazurskiej „dżungli".

Plany, jak to najczęściej bywa, nie muszą zawsze być szczęśliwie realizowane. Tak było z początku i tym razem. Nad puszczę najpierw nadciągnęły czarne chmury, a potem gęsta ulewa. Dopiero po pół godzinie przerwał się ten potok wody, by z dokładnością zegarka po godzinie powrócić. Padało z przerwami aż do świtu. Było zupełnie ciemno. Masztowe sosny, pod którymi staliśmy, okryły nisko lecące chmury. Wydawało się, że nastała ciemna noc.

By oszczędzać akumulator pośpiesznie pompowaliśmy materace, układając je na podłodze autokaru. Inni gotowali herbatę i zanim znów zaczęło padać, pogaszono światła i wszyscy już byli w swoich śpiworach.

Wiele razy podróżowałem autobusami i zawsze byłem pewien ich solidności, przynajmniej tego, że dachy miały szczelne. Teraz stało się inaczej. Już po pół godzinie pompy wodnej z nieba, jak mówią żeglarze, zaczęło kapać z sufitu. Woda moczyła koce.

Zrobiło się nieprzyjemnie. Zaczęliśmy narzekać, a i to nie na wiele się nie zdało. Do samego ranka wielu z nas przekimało noc na siedząco, w narożnikach nieszczęsnego pojazdu. Ci szczęściarze, którzy byli suchsi i tak nie zasnęli, oślepiani ciągłymi rozbłyskami światła, ogłuszani grzmotami piorunów i łamaniem konarów drzew. Ciągle obawiali się jakiegoś nieszczęścia.

Świt powitał jednak słońcem i śpiewem ptaków. Puszcza Piska była upiorna i nieobliczalna! Warto było wtenczas przebywać wśród masztowych, dwustu czy czterystuletnich sosen i ogromnych, ponad trzydziestumetrowej wysokości drzew. Z pomiędzy tych wielkich pni roztaczał się niezapomniany widok na deltę i ujścia upiornej Krutyni, osnutej mgłą i oparami po ostatniej ulewie.

Po lewej stronie zatoki jakieś wielkie ryby chlapały się w czarnej mazi. Nad nimi szybował duży ptak, biały pod spodem. Nurkował, ale bez powodzenia. Podrywał się wysoko i ponownie spadał. To był wielki rybołów. Naraz wysunął włochate nogi i prawie dotknął wody. Ciężko mu było z początku, jednak z zadowoleniem i brawurą unosił szamoczącą się zdobycz lecąc ku odległym bagnom Krutyni.

Z półwyspu zwanego tu Gąsior coraz bardziej widać było rozbłyskujące światła naszej bazy. To sygnalizowano nam wypłynięcie po nas łodzi. Byliśmy szczęśliwi!

Odtąd przez trzy tygodnie mieliśmy być związani z tymi łajbami. Jeszcze do niedawna pływały po Bełdanach zwykłe Omegi. Naszą Bora Bora wykonano z włókien szklanych i laminatów. Była wielkim pływającym domem. Zainstalowano na niej wyposażenie jak na pełnomorskich jachtach - wskaźniki siły, kierunku wiatru i jeszcze wiele innych nowoczesnych urządzeń. Spanie w wygodnych kojach, z dala od brzegów i milionów komarów, była prawdziwą gratką na Mazurach dla każdego mieszczucha.

Nowa baza stała na słonecznej bindudze, za którą rosła już tylko wielka puszcza. W nocy szumiała. Skrzypiały obłamane kona-

ry drzew, słychać było hukanie puszczyka, rżenie i tętent tarpanów. Znad leśnego jeziora Smolak ciągle dochodził jakiś złowieszczy płacz i chichot. Potem zakrakał kruk, zawył wilk i znów nastawała przeraźliwa cisza

Kiedy wczesnym rankiem tarpany odkryły nasz biwak, doświadczona klacz przyprowadziła pod namioty dwa źrebaki. Stanęły w rozkroku i spokojnie czekały na pojawienie się gospodarza. Lekkim stukaniem o piasek przynaglały do wyjścia z namiotu kogoś, kto by ich prośby mógł spełnić.

Kiedy komandor zaszeleścił opakowaniem odwijanej czekolady, konie jak szalone dopadły wejścia do jego namiotu.

Tarpany były małe, o wiele drobniejsze od zwyczajnych kucyków, w świetnej formie i doskonałej kondycji, choć mieszkały przecież w lesie i często w niedostatku. Wiele miesięcy przebywały w surowym klimacie, jedynie korzystając z paśników dla saren, jeleni i łosi. Miały zaokrąglone sylwetki i czystą, świecącą sierść, choć nikt ich przecież nie mył i nie czyścił. Same wchodziły często do wody i pławiły w niej naprzeciw piaskowej bindugi.

Jurek złamał tabliczkę. Prowadząca klacz śledziła go wielkimi oczami, pochyliła ku niemu długie, księżycowe uszy i czujnie wypatrywała każdy jego ruch.

Zapach słodkiej czekolady działał jak narkotyk. Podeszła blisko, zgodziła się na poklepywanie a nawet drapanie za uchem. Z zadowoleniem przyjęła kostkę i bez zazdrości pozwoliła obdarzyć nią swoje źrebaki. Z wdzięcznością oblizała ręce Jurka i koniki pognały do lasu, pozostawiając w nas zachwyt dla nich i przyjaźń.

Jakie było nasze zdziwienie, kiedy pod wieczór ta sama klacz przyprowadziła pod namioty cały tabun swoich pobratymców! Wśród nich był krewkie ogiery i sporo młodzieży, wszystkie myszowate, z czarną pręgą na grzbiecie.

– Koledzy, ja mam tylko jedną czekoladę – tłumaczył się komandor. – Co ja mam teraz zrobić? Przecież tej tabliczki nie da się podzielić na dwanaście koni.

Krzysiek widząc konsternację Jurka wyjął z plecaka swoją tabliczkę, przełamał na pół, część podał Jurkowi, a resztę schował. Naraz stała się rzecz niebywała. Pierwszy ogier zadrżał, błyskawicznie odskakując uderzył kopytem Krzysia. Tego było już za wiele. Nieszczęśnik chwycił połówkę wiosła i z całej siły wymierzył klapsa krewkiemu ogierowi. Całe stado jak oszalałe pognało w las, pozostawiając za sobą tumany piasku.

To wieczorne zdarzenie nie zraziło mnie do rannej wędrówki po lesie. Marzeniem moim było spotkanie dzikich tarpanów, które do plaży się nie garnęły i od ludzi uciekały.

Wyszedłem jeszcze o świcie w kierunku leśniczówki Końcewo, aby stamtąd pójść do drogi Warnowo – Wierzba. Zgodnie z informacjami leśniczego przebywało przy niej spore stadko leśnych tarpanów. Przeniosło się tam z hałaśliwego obrzeża jeziora. Za Smolakiem odkryłem nieruchomo stojącego ogiera. Domyśliłem się, że był on przednią strażą leśnego tabunu.

Powoli podniosłem obiektyw, jednak światło było za słabe. Na wymianę obiektywu nie było już czasu, a ogier szybko zdradził pasące się stado. Podbiegł bliżej, nerwowo poruszał łbem i kopytem uderzał lekko o ziemię. Niespodziewanie ruszył w moim kierunku, a tabun za nim. Stanąłem jak słup. Nawet nie śmiałem podnieść aparatu do oka. Tarpany były wyraźnie większe od tych znad wody. Przebiegły obok mnie. Zdjęć zrobiłbym o wiele więcej, ale przeszkodził mi w tym motocyklista, który przejeżdżał drogą i spłoszył tarpany. Koniki znikły mi z oczu, kryjąc się w gąszczu rezerwatu.

Mówił mi leśniczy, że w puszczy żyją na wolności dwa stada i sporo maruderów kręci się po plażach, odwiedza kajakarzy, żebrze o chleb i słodycze, a co najgorsze buszuje w śmietnikach. Jednak te prawdziwe, dzikie tarpany mieszkają przez cały rok w lesie.

Są jego chlubą oraz ozdobą.

17. Czapla

Czapla to nie tylko nazwa ptaka, którego często oglądamy na Jeziorach Mazurskich, ale też harcerskiej stanicy wodnej we wschodniej części półwyspu Zamordeje. Położona jest na jednej z dwóch słonecznych, piaskowych bindug, niemal na końcu Puszczy Piskiej. Mało tu ludzi, na pewno nie ma tłoku i hałasu, bo całe jezioro Nidzkie jest objęte strefą ciszy. Wilgotne i parne powietrze, przesycone zapachami zbutwiałego drewna, grzybni i ostrych ptasich odchodów, wydziera się z gęstych borów i roznosi po powierzchni jeziora.

Jego urodę opiewają malarze i poeci. O jeziorze siedmiu wysp K. I. Gałczyński pisał: „Tyś jest jezioro moje, a ja jestem twoje słońce, światłami ciebie stroje, szczęście moje szumiące".

Kiedy wypływaliśmy z Rucianego było nam trochę smutno. Inne jachty żegnały rodziny i znajomi, a nas nikt.

W południe wiatr zelżał. Kiedy przybliżyliśmy się do wschodniej ściany lasu i minęliśmy Królewski Ostrów dopiero bardziej powiało. Jezioro wrzynało się w puszczę, tworząc za leśniczówką głęboki fiord zamieszkały przez wodne ptactwo.

Stara czapla stała na konarze sosny wywróconej do wody. Na nasz widok poderwała się, odleciała ze sto kroków i ponownie siadła. Krzysiek znów skierował łódkę na nią. Przestraszona odleciała na taką samą odległość i usiadła na skraju wody. Prezentowała się wspaniale na tle świeżej zieleni trzcin. Była ozdobą jeziora.

– Przygotujcie aparaty - odezwał się komandor. – Będę płynął tak, aby łódź nie kierować wprost na ptaka. Dam wam szansę na najlepszą fotografię tej wiosny.

Częściowo ten manewr się udał i w obiektywie ujrzałem ponad półtorametrowej wielkości rozłożone skrzydła ptaka z czarnym dziobem. Nagle zerwał się, głowę zarzucił na grzbiet, skrócił szyję i oddalił bijąc skrzydłami. Czapla usiadła w takiej samej odległości jak przedtem. Co za nieostrożny ptak! A może chciał nam się przypodobać lub wabić nas do swej koloni? Stojąc nad wodą czapla wysoko wyciągnęła szyję i obserwowała nas nieufnie. Dopiero przelatując nad nami odezwała się: „kreiik", jakby chciała nas ostrzec, czy wskazać kierunek płynięcia żaglówki. Rybacy uważają ją za szkodnika, a ta była wyjątkowo przyjacielska i budziła ciekawość oraz zachwyt.

Płynęliśmy po łuku jeziora w kształcie bumerangu, z poszarpanymi brzegami, licznymi zatokami dającymi życie puszczy. Gęsto rosły tu lasy. Zasłaniały domostwa ludzkie i leśniczówki, a nadbrzeżne szuwary i stare konary były wylęgarnią dla wodnego ptactwa.

Dobiliśmy do stanicy wodnej „Czaple" obok leśniczówki. Za nami ogrom lasów, łatwo tu oddychać. Tlenu było tyle co zawsze po burzy i jak wszędzie w puszczy fruwały miliony komarów.

Brak ludzi, domów wypoczynkowych i dworków myśliwskich to właśnie efekt mnogości komarów. Ich ofiarą padają wszyscy, którzy tu nieopatrznie zaglądają. Nie odstraszają ich rozpylane płyny, nacieranie rąk, twarzy i areozole. Jako ratunek przed nimi pozostaje tylko moskitera, kapelusz z siatką i szczelna odzież. Człowiek w puszczy staje się dla tych owadów natychmiast pożądanym, smacznym daniem. Odkryte ciało błyskawicznie okrywają szarą warstwą skrzydeł, a pod nimi pęcznieją bańki czerwonej krwi.

Pod wieczór odwiedzam jeziorka Węża Mała i Węża Wielka. Jakby tych węży było za mało rozdziela jeszcze zatokę od jeziora

Węża Kępa. Nie polecam włóczenia się po tych bagiennych wertepach, bo łatwo o spotkanie z prawdziwym wężem, których jest tu dużo. Żywią się ptakami i jajami, które wypadły z gniazd, a najedzone wygrzewają w słońcu zawieszone na gałęziach, które chwytamy rękoma przechodząc przez mokradła. Na dziczych, jelenich i sarnich ścieżkach odpoczywają kleszcze, które sprytnie czekają na swą następną ofiarę. Niespodziewanie nas obsiadają i problem mamy gotowy.

Rankiem na świeżym piasku przy wodzie krzyżuje się mozaika trójpalczastych tropów ptaków, a wśród nich wielkie odciśnięte łapy dzika i wilka. Obok w trzcinach parę dni temu urzędowała wataha szukając pędraków. Wymieszała błoto z trzcinami, wyryła głębokie rowy. Aż ciarki przechodzą na ten widok i myśl o spotkaniu się z nią.

Nie muszę się bać błota, przecież mam wodery. Śmiało wchodzę w tę topiel. Po chwili niczym czarna kula przelatuje obok mnie locha i nawraca. Stchórzyłem! Aparat tylko dynda na mojej szyi, a w rękach kurczowo trzymam kij. Nie ruszam się, aby któryś z warchlaczków nie kwiknął, bo wówczas byłoby nieszczęście. Na pewno locha by mnie zaatakowała.

Stoi przede mną! Jej czarne ślepia starają się dostrzec mój najmniejszy ruch! Boję się sięgnąć po aparat. Tak blisko dzika jesz-

cze nie byłem! Tymczasem jej warchlaki wydostały się z zielska i kłączy i skupiły wokół matki. Ona je po kolei obwąchiwała, może i liczyła. Zrobiła nagły zwrot i szturchańcami prowokowała do ucieczki.

Ale napędziła mi strachu, lepiej dalej nie ryzykować! Opuściłem to bagno.

Wieczorem siedzimy przy ognisku nad samym brzegiem jeziora. Czujemy i słuchamy jak za nami żyje puszcza. Coraz jakiś nierozpoznany hałas dochodzi z głębi lasu. W nocy nawet coś próbuje dostać się do namiotu, przewraca garnki, rozszarpuje nasze torby i wykopuje spod piasku śmieci. Następnego dnia odnajduję tropy jenota.

Na zachód od stanicy nad zatoką gnieździ się w rezerwacie kolonia czapli. Zajmuje 120 - letni bór sosnowy z dużą ilością starych, wywróconych do wody drzew. Siedzące na ich konarach ptaki stwarzają imponujący widok w dzikiej, bezludnej puszczy. Już z daleka rozlegają się chrapliwe okrzyki. Na tle różowego świtu rysują się coraz to nowe ich sylwetki. Czernią się niemal na każdym drzewie wielkie kule gniazd, na których stoją stare ptaki, a pod nimi pisklęta głośno domagają się pożywienia. Od koloni płynie gorzki, przykry zapach ryb. Gałęzie drzew i dno koloni jest białe od ptasich odchodów. Leżą pióra, skorupy

jaj i martwe pisklęta. To wszystko robiło okropne wrażenie.

Nagle nad kolonią przeleciał sokół. Niektóre ptaki poderwały się do lotu, inne płaszcząc się i maskując pozostały w gniazdach. Kiedy niebezpieczeństwo minęło i sokół odleciał, znów kolonia wrzała pełnym życiem. Czaple wykrzykiwały swoje hasło: „kooa”, zwłaszcza wtedy, kiedy wracały do gniazda samice z rybami.

Stałem nieruchomo pod drzewem. Długi obiektyw skierowałem na pochyloną pod ciężarem gniazd sosnę. Kiedy miałem kolejny raz przycisnąć migawkę, naraz na moją głowę spadła zgniła ryba wypluta przez czaplę.

Szybko powróciłem do stanicy! Mimo szybkiego wyprania ubrania wszyscy mnie omijali. Przez tę wizytę w czaplińcu miałem dwa dni przerwy. Tyle czasu moje ubranie było zakopane w piasku na plaży Zatoki Zamordeje.

18. Bobry z Sowirogu

Załoga naszego jachtu lubiła długo spać, za to przy ognisku przesiadywała do późnej nocy. Trudno mi było dotrzymywać kolegom towarzystwa, kiedy powieki same się do siebie kleiły. Za to każdego ranka budził mnie pierwszy świt. A kiedy na bagnach zatrąbiły żurawie, czy spod nieba w dół popłynął piskliwy głos sokoła – „keija keija keija", wyskakiwałem jak opętany ze śpiwora i trudno mi już było do niego powrócić. Wówczas na wodzie i w puszczy działy się rzeczy, których dotąd nie oglądałem.

Tego ranka Zatoka Zamordeje tonęła jeszcze w porannej mgle. Zacierały się nadbrzeżne kontury lasu, wody i domków pod strzechą ustawionych dla turystów wśród sosen.

Nurt jeziora nie był spokojny. Coraz na powierzchnię wynurzały się czarne grzbiety wielkich ryb. Wyskakiwały ukleje, a czasem przecinała jego długa bryza po ataku drapieżnika. Naraz ciszę przerwał hałas ptaków z pobliskiego czaplińca. To sokół dopadł któreś z piskląt. Odtąd robiło się tu gwarno.

Z pobliskich oczeretów wystartowały królewskie żurawie i z niepokojem huczał bąk głosem podobnym do ryku krowy. Później znów zakrakał jak kruk, bo był prawdziwy artystą. Rozdymał przełyk, w oczach grubiał jak balon, straszył wyglądem żaby. Potem przez gardło wypuszczał powietrze naśladując głosy innych zwierząt w puszczy.

Złożony przeze mnie kajak bez trudu zniosłem z bindugi. Wsadziłem wędki, torbę z aparatami i odepchnąłem się od brzegu. Gumowa powłoka składaka bezszelestnie wpłynęła w słaby nurt

wody. Wśród rybich grzbietów płynęliśmy w stronę Sowirogu. W dżungli trzcin porośniętych olchami, zarzuconych pochylonymi konarami wiekowych drzew, spotkałem gęsi, samotnika, czarnego bociana – haistre i niebieskiego zimorodka. Z dala od zgiełku, przy ujściu większej rzeki wypływającej z głębi borów zatrzymałem się przy kępie zielska. Zmontowałem spining z obrotową błystką i rzucałem bezskutecznie w gardło wypływającej rzeki. Coraz bardziej lekki podmuch marszczył cichą toń, jednak ryby nie wychodziły ze swoich kryjówek. Rzeką płynęły kożuchy mchu, uschłe gałązki i żurawina. Błystka ginęła w czarnej jak sadza topieli i często się haczyła.

Naraz w pobliżu mojego stanowiska ujrzałem pod powierzchnią wody czarnego olbrzyma. Byłem przekonany, że to sum. Szybko zmieniłem obrotówkę na żółtego gnoma, na którego na Drawie kilka lat wcześniej złowiłem dwunastokilogramowego suma. A nóż się uda i poczuję w ręku taką wielką bestię? Niech się potem nawet urwie, ale emocje pozostaną! Szanse moje rosły z minuty na minutę.

Ciemne cielsko ciągle ukazywało się naprzeciw mojego kajaku. Czułem się jakbym polował w puszczy na grubego zwierza. Oczy mi biegały to w lewo to w prawo i lustrowały czarną głębię.

Wokół kajaku tworzyły się smugi wypływających z dna baniek gazu błotnego i niewątpliwie świadczyły o żerowaniu potwora przy dnie. Potem znów woda stała się spokojna i gładka. Ręka mnie już bolała od ustawicznego machania kijem. Postanowiłem odpocząć, bo i sum przestał żerować.

Słońce pochyliło się już nad lasem, zaczerwieniły od zorzy korony wielkich sosen, gdy woda wokół mnie znów się zaburzyła. Teraz wyraźniej niż przedtem ujrzałem pod powierzchnią wody brązowe cielska ryb, prawie podpływające pod burtę kajaku. Serce mi skakało do gardła i waliło jak młotem! Coraz bliżej mej łódki pływały dwa olbrzymy.

Nagle przede mną na kępę wyskoczyło jedno brązowe cielsko i oczom nie wierzyłem. Patrzyło na mnie z niedowierzaniem małymi ślepkami. Ależ to był bóbr! Niemal zupełnie czarny, o długiej płaskiej kielni zwisającej z kępy.

A to pech! Straciłem tyle czasu i wszelką nadzieję na rybę! Spokojnie i długo się sobie przyglądaliśmy. Uniosłem spining, bóbr powoli wsunął się do wody.

Usprawiedliwiałem się przed sobą, zwinąłem sprzęt, bo robiło się już coraz ciemniej. Trzeba było wracać!

Kiedy odpływałem widziałem jeszcze siedzące na kępie bobry. Robiły wrażenie bardzo przyjacielskich zwierzaków. Spostrzegłem, że nie dziwiły się mojej tu obecności, w odróżnieniu ode mnie.

Po powrocie na Bełdany popłynęliśmy do Popielna. Tam w Ośrodku Doświadczalnym PAN zwiedziłem hodowlę bobrów. Smutno mi się zrobiło na ich widok. Mieszkały w betonowych i drucianych klatkach. Były równie czarne jak te z Sowirogu, ale w ich ślepiach wyczuwało się smutek i przygnębienie.

Puszczan wyrastał na kapitalnego byka.

Puszka z Pozorką prowadziły swych wielbicieli na miejsce walki.

Leśne stado żubrów nigdy nie podporządkowało się służbie leśnej.

Później, kiedy administrator ośrodka opowiedział mi historię tej hodowli, na tamtejsze bobry patrzyłem już zupełnie inaczej.

W Polsce bóbr został całkowicie wytępiony. W roku 1949 osiedlono w Popielnie 6 rodzin sprowadzonych z Białorusi. Początowo miano je hodować jako zwierzęta futerkowe, ale po uzyskaniu ponad czterdziestu miotów zaczęto wypuszczać w wybrane miejsca dla oczyszczania wody i przywrócenia puszczy do stanu pierwotnego. W ten sposób zasiedlono bobrami również jezioro Nidzkie, daleko, bo aż pod Sowiróg

Prawdopodobnie miałem szczęście z tymi sympatycznymi jarczakami się spotkać. Przyzwyczajone od urodzenia do ludzi demonstrowały przede mną swój mistrzowski kunszt w podwodnym pływaniu, a ja nie umiałem tego rozpoznać i docenić!

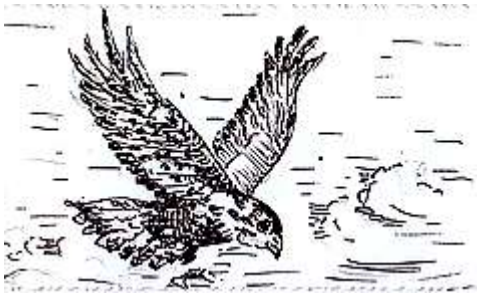

19. Żubronie

Płyniemy na północ. Jezioro w tym miejscu zwężało się znacznie. Coraz wyraźniej słychać było terkotanie silnika na promie płynącym do Wierzby. Bełdany dotąd uśpione w głębokim kanionie naraz się odkrywały, lasy po bokach obniżyły i poczuliśmy świeży przeciąg z wielkich Śniardw. Jak za skinieniem zaczarowanej różdżki żagle napełniły się wiatrem i pchnęło naszą łajbę ochoczo do ujścia jeziora.

Przed nami odbijał od przystani prom. Przewoził tylko samochód i młodą parę karmiącą mewy kawałkami chleba. Odpływał od brzegu prawie pusty, choć przewoźnik widział dobrze nadjeżdżające samochody na przystań. Nie wiadomo, dlaczego je zlekceważył. Płynęliśmy obok i widzieliśmy niezadowolenie nowych przybyszów. Wysłuchaliśmy też razem sporo cierpkich okrzyków pod adresem przewoźnika Muchy, jak go tam tytułowano

Najbardziej utkwiły mi w pamięci słowa krewkiego kierowcy skody, który zarzucał kapitanowi promu, że spieszno mu do swojej Pameli. W Popielnie i Wierzbie wszyscy wiedzieli, że przewoźnik bardzo interesował się żubroniami i często podchodził pod ich zagrodę, karmił chlebem. Szczególnie przychylnie traktowała go młoda żubroniowa, która już z daleka go rozpoznawała i biegła do niego jak szalona. Naimię miała Pamela

Na obraźliwe zdaniem Muchy słowa prowadzący prom odrzucił bosak, którym prostował jego kierunek, podniósł marynarską białą czapkę z naszytą kotwicą i ze wściekłością rzucił pod nogi. Nerwowo od nowa zapalał zgaszoną fajkę i bardzo się denerwując puszczał kłęby dymu.

Nasza łajba musiała wyhamować, bo prom podnosił z wody przegradzającą jezioro linę, Istniała obawa zaczepienia o nią steru, stąd mieliśmy sporo czasu na wysłuchanie wiele niepochlebnych słów pod adresem przewoźnika. Najczęściej jednak powtarzało się imię Pamela. Można było odnieść wrażenie, że jego dziewczyny. Widać było, że on miał już dosyć tych aluzji, tym bardziej, że na przystani zebrało się spora grupka chętnych do przepłynięcia na drugą stronę jeziora. Drwili z niego spiesząc do sklepiku w Wierzbie i turyści z Popielna.

*

Następny ranek był śliczny, słoneczny. Jeszcze przed czwartą wypłynąłem składakiem z naszej bazy. Była to dobra pora na poszukiwania dennego leszcza. Do kresu mojej wyprawy miałem zaledwie kilometr, pod niedostępne pasmo tworzące gmatwaninę trzcin. Po pół godzinie wiedziałem już, że wybrane przeze mnie miejsce to nie to, o którym marzyłem.

Naprzeciw mnie w pełnym nurcie jeziora stała wielka rybacka łódź, na której wędkarz ciągle wyciągał jakieś wielkie ryby. Nie wytrzymałem i w końcu i podpłynąłem bliżej. Był to przewoźnik promu.

- Dzień dobry, panie Mucha! Nie mam szczęścia, bo złowiłem zaledwie parę płotek.

Uprzejmie mówiąc, z mazurskim akcentem pozwolił mi pozostać. Dodał, że jeżeli zechcę to może mi przekazać swoje ryby, bo i tak nie ma co z nimi zrobić.

Podniósł z dna łodzi leszcza. W życiu jeszcze tak wielkiego nie widziałem. Zauważył moje wzruszenie, bo pozostałe dwa również powędrowały do mojego kajaka. Opowiedziałem niezbyt rozmownemu Mazurowi o moim zachwycie do jego Wielkich Jezior i o naszym pobycie w bazie na bindudze, o włóczeniu się po jeziorach i fotografowaniu przyrody.

Mucha rozpoznał mnie z przystani i żalił się na ludzi, którzy go prześladowali. Z ciekawości zapytałem o jego dziewczynę. Popatrzył na mnie zmęczonymi oczyma, odłożył fajkę i opowiedział mi historię Pameli - żubronia wyhodowanego na farmie w Popielnie.

– Na uboczu, za ogrodzeniem w Wierzbie – mówił - można zobaczyć te osobliwe zwierzęta, na pewno potężniejsze od żubrów. Przypominają swym wyglądem krzyżówkę tura i żubra, ale o szczegóły musi pan zapytać inż. Żurawskiego z Popielna.

Tak zakończyłem wędkowanie tego ranka i wróciłem do bazy jeszcze przed pobudką. Trzy wielkie leszcze wszystkich wprawiały w zachwyt, a mnie przydawały pochwał za kunszt wędkarski.

W Popielnie dowiedziałem się o ciekawej historii niecodziennych mieszkańców Zakładu Hodowli Doświadczalnej Zwierząt PAN, o tym, że pierwsze żubronie wyhodował jeszcze w 1847 roku Polak Leopold Walicki, krzyżując krowy z żubrem bykiem. Otrzymał wówczas piętnaście mieszańców. Po latach doświadczenia te wznowiono w ogrodzie zoologicznym w Płocku i następnie w Białowieży i w Popielnie.

Celem tego krzyżowania była próba otrzymania hybrydy od dwóch różnych gatunków. Znaczenie też miały względy ekonomiczne. Chodziło o wyhodowanie takiego żubronia, który by przebywał na nieużytkach, bez potrzeby dokarmiania. Szybko się przekonano, że mięso z tych krzyżówek ma specyficzny smak i może się stać przełomem dla rolnictwa, tym bardziej, że wcześniej z powodzeniem przeprowadzono próby krzyżowania bydła z bizonami w Ameryce Północnej.

Żubroń jest bastardem, czyli mieszańcem dwóch gatunków, powstałym wskutek zamierzonej ingerencji człowieka. To człowiek zmusza zwierzę, by miało potomstwo z innymi gatunkami. Ciele po krowie pokrytej żubrem jest wielkie i ciężkie, waży ponad 60 kilogramów, czyli dwa razy tyle, co ciele normalne. Przy-

chodzi na świat przy pomocy lekarza weterynarii. Bastardy płci męskiej są nie płodne. Przyroda bowiem nie znosi chaosu.

W Ameryce w wyniku bastardyzacji krowy z bizonem uzyskano nową rasę beefalo. Ciele waży 25 do 35 kilogramów, małe zaraz po urodzeniu podążają za matką. Zwierzę to zjada wszystko - piołun, kaktusy bez kolców, nawet słomę ryżową. Jest odporne na choroby, pasożyty i chłód. Po roku waży 500 kg, po trzech latach 1750 kg.

W Popielnie krzyżowano żubry z krowami rasy nizinnej - żubra z krową lub buhaja domowego z żubrzycą. Krzyżówki te bardzo szybko rosły. Samce nawet ważyły po 1200 kg i nie chorowały.

Urodziła się tu Pamela - po wielkim puszczańskim żubrze i krowie rasy czerwonej. Przewoźnik promu ją bardzo lubił, tak jak całą wokół przyrodę. Może i dla jego spokoju przeniesiono ją do Białowieży i na nowo ochrzczono imieniem Famela.

W latach późniejszych tę hodowlę przeniesiono do ówczesnych PGR–ów. Rezultaty nie były zadawalające.

Obecnie w naszym kraju żyje tylko kilkanaście żubroni.

20. Zatoka wąsaczy

Zbierało się na deszcz. Muchę, przewoźnika promu z Wierzby, spotkałem przy jego starej łodzi jak montował sprzęt wędkarski.

– Zabrałby mnie pan na ryby? – zapytałem grzecznie, kłaniając się.

Spojrzał na mnie spod czoła, zmarszczył brwi, a z jego fajki więcej kłębów dymu uniosło się w powietrze.

– Widzi pan jaka fala? Sam dziś zrezygnowałem z połowu, choć człowieka ciągle kusi ta woda. To nie te czasy, kiedy łowiłem wielkie leszcze z promu. Teraz trzeba po nie wypływać naprzeciw ostoi żubra, a tam huśtawka wody jest dzisiaj za duża. Myślę, że dam sobie spokój z rybami! Jeżeli jutro będzie tak ciepło jak teraz to wypłynę, ale na wąsala. Znam naprzeciw ujścia Krutyni podwodną górkę i kilka dołów, gdzie mieszkają wśród podwodnych konarów sporej wielkości sumy. Ubiegłego lata o tej samej porze złowiłem tam 12,5 - kilogramowego, a jeszcze większego zerwałem. Sęk w tym, że to było nocą. Jeżeli zechcesz pan popłynąć, to proszę przyjść jutro po siódmej wieczorem – zobaczymy! Nie zapomnij wziąć pan latarki!

Następnego wieczoru było jeszcze spokojniej. Ciepły wietrzyk z wilgotnymi oparami ze Śniardw płynął nisko i wtłaczał się w szeroki kanion Bełdan. Naprzeciw nas leniwie przepływały żaglówki, prawie jedna za drugą, by zdążyć przed zmrokiem do bazy w Kamieniu.

Mucha długo obserwował wodę i niebo, sprawdzał sprzęt wędkarski, podnosił kamienie i oglądał czy są pod spodem mokre Zaj-

rzał do żab, które miał w wiadrze, potem długo medytował. Nawet przez moment miałem wrażenie, że chce się z tej wyprawy wycofać i przestałem się odzywać. Jednak wierzyłem w nocny sukces starego wygi. Miałem popłynąć z doświadczonym jak nikt inny wędkarzem, który od lat znał te wody i obyczaje wielkich ryb w „zatoce wąsaczy", jak nazywał szerokie gardło ujścia Krutyni.

Płynęliśmy jego krypą już z godzinę po prawym brzegu jeziora. Minęliśmy ujście z jeziora Flos, za którym zaczęła się otwarta Zatoka Iznota. Po jej brzegach ciągnął się szeroki pas bagien, a przybrzeżne wody były pokryte kożuchem podobnym do żabiego skrzeku. W nurcie widać było kilkumetrowe warkocze moczarki. Przy trzcinach czerniły się łachy mułu i kłączy podwodnych roślin. Nigdy bym tu sam nie wpłynął, pomiędzy podwodne straszące czernią kłody, ciemne nory i wystające zbutwiałe gałęzie.

Woda jak na tę porę roku była ciepła, sprawiała wrażenie nagrzanej, tylko na głębinach lodowato zimna.

Mucha nie błądził. Sobie znanym szlakiem, omijając przeszkody, powoli dopłynął do wystającego pnia i tu zaczepił łódkę. Był to już ostatni moment przed zmrokiem, bo na przeciwnym brzegu, przy stanicy Gąsior rozbłysły pierwsze światła. Widać był zadowolony, bo poklepał mnie ciężką łapą, aż mnie zabolało ramię. Wiosło jeszcze czułem w dłoniach, a tu nowe uderzenie jeszcze ból powiększyło.

Staliśmy obok powolnego rzecznego prądu, który niósł ze sobą z głębi puszczy różne leśne śmieci, a najwięcej liści.

Mucha nie czekał. Wyciągnął metalowy sadzyk, z którego wydobywał się przejmujący zapach nieświeżych ryb, przywiązał coś do sznura i rzucił parę metrów od łodzi.

Na dwóch wędkach spławikowych w światłach latarki wisiały spokojnie zahaczone za skórę żabki. Na jednej wędce przesunął spławik do głębokości prawie sześciu metrów i zarzucił ją pomię-

dzy zielsko. Pierwszy spławik od razu się zatrzymał, drugi powoli płynął.

Kiedy zgasiłem światło czarna noc otoczyła nas zewsząd. Mucha wygodnie usiadł na kapoku i chyba zasnął.

Ja tę noc przeżywałem na swój własny sposób - łowiłem każdy szelest bliższy i dalszy. Nawet wyczułem lot nietoperza nad nami, słyszałem dalekie w lesie hukanie sowy i plusk wody przy płynącym piżmowcu. Potem zaszczekała w trzcinach łyska. Zaniepokojona głośnym „piks" wystraszyła intruza, bo nastała zupełna cisza. Usypiały monotonne uderzenia fali o brzeg.

Przy burcie łodzi coś zaczęło gwałtownie pluskać. Byłem pewien, że jakaś ryba podpłynęła. Kiedy zaświeciłem latarkę, aż ręka mi odskoczyła. Przede mną pływał zygzakiem wąż, niosąc w pysku kawałek obdartej ze skóry ryby.

Naraz hałaśliwie zaczął obracać się bęben kołowrotka. Mucha niczym sprężyna podskoczył, chwycił wędkę i mocno podciął. Jednak ją odłożył spławik powrócił na swoje miejsce. Mój przewodnik dalej usiadł i znów kimał.

Nie odłożyłem ciężkiego kija. Po chwili poczułem takie szarpnięcie, że omal nie wyrwało mi go z rąk. Znów bęben zaczął się

kręcić, a kiedy usiłowałem go palcem przyhamować, nad wodę wyskoczyło czarne cielsko ryby i błysnęło białą plamą brzucha.

– Sum – powiedział Mucha, ale wędki mi nie zabrał, tylko zwinął drugą i kij położył na dziobie. Odwiązał też od pnia łódkę.

Sum parł na głębokie partie wody, wyciągając z bębna resztę żyłki. Czułem, że przez pewien czas ryba holowała nas w kierunku środka jeziora. Żyłka była tak napięta, że groziła w każdej chwili zerwaniem. Hol wydawał się wiecznością, powoli jednak zacząłem nawijać mój bęben.

Gdy rybę miałem może na piętnaście metrów, wypłynęła na powierzchnię. Takiego kolosa wcześniej jeszcze nie widziałem! Płynął po wierzchu, zanurzał się jak mała łódź podwodna i znów wypływał. W nocy wydawał się straszny - to biały, to czarny.

Byłem pewien, że za chwilę go wyciągniemy. Jednak odzyskał siły, a może nas zobaczył, bo ponownie bęben warczał jak wściekły. Teraz wyciągnął jednak już mniej żyłki. Potem pozwolił na skręcanie jej i dał się powoli holować do łodzi. Mucha chwycił go za dolną szczękę i wyciągnął sprawnie do wnętrza.

Radość była wielka! Wspólnie się cieszyliśmy jak dzieci. Nad lasem już dniało, kiedy wracaliśmy, a dzień zapowiadał się pogodny i szczęśliwy!

21.Ostatni król puszczy

Stał po kolana w jeziorze, niczym relikt z poprzedniej epoki. Biła od niego wielka potęga przywołująca w mojej pamięci jego królewskość i ogrom dawnych kniei, z których się wywodził. Z wielkim wzruszeniem patrzyłem na kudłatą bestię - Wielkiego Mazurskiego Żubra!

Zwierz był ogromny. Garb jego wznosił się wysoko nad ziemię, czoło miał porośnięte kędzierzawymi splotami włosia, podobnie jak puszysty kark. Ten wygląd przydawał mu dostojeństwa i powagi.

Żaden inny zwierz nie budził tyle podziwu, co ten kolos. W słoneczne dni żerował nad Bełdanami na piaskowej bindudze, wśród 120-letnich sosen.

Jego pobratymców w Puszczy Piskiej już od dwustu lat nie było. Ostatni z nich padł od kuli w 1776 roku. Ten mazurski żubr w samotności i dobrobycie spędzał swe sędziwe lata. Obie puszcze - Białowieska, z której przybył i Piska, w której mieszkał, były dla niego przychylne. Ludzie darzyli go sympatią i odwiedzali każdego lata. Stał się atrakcją pobytu tutaj niemal wszystkich wodniaków. Podpływali pod jego ostoję i gapili się na niego godzinami. Nie wiedział czy ma się usunąć w gąszcz i zejść z drogi przybyszom. Brązowymi ślepiami spoglądał na natrętów, ale zachowywał się spokojnie i znosił z pokorą ich hałaśliwe sąsiedztwo.

Zupełnie nie rozumiał, dlaczego puszcza skurczyła się tak bardzo, a on, największy jej władca, nie może dla siebie znaleźć w niej spokojnego kąta.

Po zachodzie słońca wracał z wody na rozgrzany piasek i tarzał się w nim z przyjemnością. Kiedy jednak nastawał mrok i powiało chłodem szedł pod starą sosnę i silnie o nią ocierał swe futro. Zdzierał z niej korę po to, aby później wypływającą żywicą smarować obolałe miejsca, pancerzem okrywać kudły i pachnieć sosnowymi olejkami.

Wielka zagroda chroniła go przed spotkaniem z jeleniami i tarpanami, których nienawidził: pierwszych za podjadanie smaczniejszych kąsków zielonych pędów drzew, a drugich za hałaśliwe zachowanie. Jednak nie strzegła go przed drapieżnymi wilkami, które każdej nocy podkopywały ogrodzenie, bo spodziewały się łatwego łupu. Walka z nimi była mozolna i zmuszała do ciągłego czuwania. Każda nieuwaga kończyła się pogryzionymi nogami.

O tym żubrze opowiadano na wszystkich jachtach. Jurek, kiedy jego łajba stała naprzeciw bindugi, obserwował jak zwierz stał nieruchomo z godzinę ze zwieszonym łbem ku ziemi. Wydawało się, że spał. Wyglądał wówczas jak posąg bizona na amerykańskich pocztówkach. Klaskano i trąbiono, a on ani się nie poruszył. Nagle sprzed jego pyska wyskoczył szarak i pognał do puszczy.

Teraz dopiero żubr ruszył do jeziora. Na jachcie twierdzono, że nie chciał tego biedaka stratować, kiedy ten znalazł się na jego drodze.

*

Zaczęło dnieć. Mgły otaczające piaszczystą bindugę powoli rzedły i siadały na piasku. Było zupełnie cicho, tylko gdzieś bardzo daleko bulgotały cietrzewie.

Pierwsza na sosnę stojącą na piasku przyleciała czapla. Spostrzegła mnie i z krzykiem odleciała. Później usiadł tam dzięcioł w czerwonej czapce. Odtąd stukot ptaka i śpiew sikorek napełniał las.

Obiektyw aparatu oparłem o żerdzie ogrodzenia i czekałem na żubra, który powoli przesuwał się na łąkę pachnącą ziołami. Nagle znieruchomiał, bo powiało ode mnie. Jego bystry wzrok odkrył mnie natychmiast. Wiedział jednak, że zza płotu nie zagraża mu żadne niebezpieczeństwo i ponownie ruszył. Czułem jego głośny oddech i szuranie gębą po zielsku. Czekałem aż wyłoni się zza pagórka. Wreszcie pojawił się. Przycisnąłem migawkę. Niespokojnie zadrgały jego małe uszka, ale szmer aparatu mu wcale nie przeszkadzał.

Kiedy po raz któryś spojrzałem w matówkę już stał z podniesioną przednią nogą, jakby próbował coś zmiażdżyć swym potężnym kopytem. Trwało to dość długo. Nagle w mojej trzysetce wyskoczyła spod niego zielona żabka.

Odtąd żubr pozwolił się fotografować dowoli. Muszę tu dodać, że były to czasy, kiedy w handlu były dobre filmy czarnobiałe, a o kolorze było można tylko pomarzyć. Enerdowski Agfacolor był parodią barw w porównaniu z tym co do nas docierało z Zachodu. Ale w myśl, „czym chata bogata” udało mi się zrobić parę wartościowych fotografii.

*

Po latach spotkałem na przystani w Kamieniu dobrego znajomego Wojtka Ozorowskiego. Ten niestrudzony wodniak był kopalnią wiedzy o Mazurach, a z Bełdanami chyba brał ślub i prawie przez całe lato tutaj pływał.

Woda, dziewczęta, puszcza i piwo - to były jego życiowe dewizy. Wiedział o żeglowaniu wszystko, znał ludzi tak jak tutejsze ryby i podwodne przeszkody. Godzinami umiał opowiadać o pływaniu. Od niego dowiedziałem się o dalszych smutnych kolejach losu mazurskiego żubra.

Podejrzewano, że ma on rekordową wagę, postanowiono, więc go zważyć. Wiadomo, żubr to nie krowa, czy koń i sam na wagę nie wejdzie, zatem uśpiono go przy pomocy strzelby. Nie wiadomo czy środek usypiający był za silny, czy strzykawka nieodpowiednia, ale żubr z bindugi zniknął na zawsze, ku wielkiemu rozczarowaniu swoich wielbicieli.

Niektórzy twierdzili, że upolował go monarcha hiszpański, który lubił przebywać ze swą świtą w Rucianym, zapraszany przez tamtejszych leśników na polowania w Puszczy Piskiej i Boreckiej.

Inni mówili, że upolował go szwedzki myśliwy, który wykupił tutaj odstrzał na dzika, a ponieważ w Szwecji żubrów nie ma, wziął go za wielkiego odyńca. Nie wiadomo tylko ile ta pomyłka kosztowała niekompetentnego Szweda.

Za każdym razem Wojtek opowiadania coraz bardziej zabarwiał o osobiste przeżycia z żubrem.

A jak naprawdę było wiedzą z pewnością w Ośrodku Doświadczalnym PAN w Popielnie!

Ja tego nie zdążyłem sprawdzić.

W PUSZCZY PSZCZYŃSKIEJ

ŁOWY
Z
Z
KAMERA

22. Kamerdyner z Książa

W latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku przygotowywałem wystawę fotografii zatytułowaną „Zamki Piastowskie na Dolnym Śląsku” i przy okazji cykl ten prezentowałem w prasie. Po zamku Bolków trafiłem do największego w Polsce zamku Książ, pełnego romantycznego piękna, położonego na górze u stóp której przepływa Pełcznica.

O jego podwóreczkach, uroczych fontannach i wspaniałych rzeźbach minionej epoki opowiadał mi z wielkim sentymentem

stary kamerdyner. Chyba tylko sam tu pozostał z tym wielkim zamkiem i jego problemami po wojennej zawierusze.

Wysoki, szczupły, w wyblakłych oczach widać było zmęczenie i ogrom nieszczęścia jakie przeszedł. Pamiętał czasy świetności tej rezydencji za Hochbergów, których rodową siedzibą był Książ. Była to jedna z najbogatszych rodzin magnackich w Europie, a po otrzymaniu tytułu książęcego przybrała nazwisko von Pless. W roku 1846 również dobra pszczyńskie przeszły w ich ręce.

Kamerdyner wywodził się z tamtych terenów. Przyznawał się do polskich korzeni i z sentymentem wspominał Pszczynę, mówiąc o niej jako o najpiękniejszym mieście, Perle Górnego Śląska.

Najdłużej rozmawialiśmy o historii zamku, ale wówczas zapisałem również wiele informacji o żubrach, bo o nich najchętniej opowiadał. Z wielką znajomością przyrody mój przewodnik mówił o hodowli tych zwierząt i o rosnących wokół Pszczyny borach. Znał rodowody zwierząt i ich zachowanie, a nawet wymieniał imiona niektórych osobników. Opowiadał, że uczestniczył w doskonaleniu myśliwskiej siedziby Hochbergów w Pszczynie. W dziewiętnastym wieku stała się ona ich letnią rezydencją.

To oni sprowadzili żubry do borów pszczyńskich, aby zaspokoić myśliwskie namiętności koronowanych głów z całej Europy. Miasto też przy tym rozkwitło. Wokół rezydencji powstawały zakłady rzemieślnicze, produkowano broń myśliwską, garbowano skóry, działały drukarnie. W jednej z nich powstała pierwsza gazeta w języku polskim na Górnym Śląsku.

Restytucja żubrów w Polsce po pierwszej wojnie światowej to również zasługa hodowli w Pszczynie. Jeszcze w 1923 roku Polska nie posiadała żadnego z tych zwierząt. Wszystkie żyjące w tym czasie na świecie żubry były własnością innych państw lub prywatnych osób, a ich wartość pieniężna, jako „ostatnich żyjących", była bardzo wysoka. Jednak udało się zebrać wystarczającą kwotę i zakupić do hodowli odpowiednią liczbę tych zwierząt. Najpierw za sumę ponad dwunastu tysięcy ówczesnych złotych

sprowadzono z Niemiec do Poznania pierwszą parę żubrów - Gatczyne i byka Hagena. Później zakupiono jeszcze w Sztokholmie dwie samice - Biserte i Biskaye, obie o rodowodzie białowieskim.

Dla tych obu samic sprowadzono w roku 1936 z hodowli w Pszczynie, trzy letniego byka o imieniu Plisch. On to zapoczątkował w Białowieży rozwój stada, a urodzonej tam jego pierwszej córce nadano imię Polka.

Pomysł przywrócenia przyrodzie żubra, zrodził się równocześnie w Polsce i w Niemczech. Na Międzynarodowym Kongresie Ochrony Przyrody w Paryżu w maju 1923 roku przedstawiciel Państwowej Komisji Ochrony przyrody Jan Sztolcman przedstawił polski projekt ratowania żubra. Zakładał on udział wszystkich krajów, na terenie których znajdowały osobniki tego gatunku, w przeprowadzeniu spisu żyjących sztuk i zapewnienia im odpowiednich warunków do życia i rozmnażania.

W 1923 zostało złożone Międzynarodowe Towarzystwo Ochrony Żubra w skład którego weszło 15 państw europejskich i Stany Zjednoczone. Na całym świecie wówczas żyły tylko 54 sztuki (w tym 39 podgatunku białowieskiego).

Ze względu na potrzebę kontrolowania gatunku utworzono „Księgi rodowodowe żubrów". Do wybuchu II wojny światowej ukazały się trzy jej wydania. Po wojnie były redagowane przez dr Jana Żabińskiego, potem prowadziła je Państwowa Rada Ochrony Przyrody. Obecnie są wydawane w Białowieży w dwóch językach: polskim i angielskim. Jest w nich zestawienie rodowodów i historia życia poszczególnych sztuk. Zawierają również daty urodzenia, imiona rodziców, nazwę hodowcy oraz daty i miejsca kolejnych przesiedleń. Każda sztuka żyjąca w hodowli zamkniętej otrzymuje numer rodowodowy (nadaje go redakcja księgi) i imienia, które wybiera hodowca. Pierwsze dwie litery imion są zarazem literami rozpoznawczymi hodowli. Dla przykładu żubry, których imiona rozpoczynają się na PL – pochodzą z hodowli w Pszczynie.

W osiemnastym wieku w lasach pszczyńskich zbudowano jeden z najstarszych ośrodków hodowli żubrów, który istnieje do dzisiaj. Żubry polubiły te podmokłe lasy i choć obecnie trudno mówić o nich jako o zwartej puszczy, to wiele pierwotnych enklaw sosnowo - świerkowych w nich pozostało. Zwierzyna w nich mieszkająca - jelenie, sarny, dziki i żubry, czuje się jak niegdyś w dawnej puszczy.

23. Podarunek cara

Car Aleksander II był bardzo hojnym wobec innych możnych tego świata zwłaszcza, kiedy mógł rozdawać nie swoje dobra. Ze zwierzyńca w Białowieży w roku 1865 podarował sporo żubrów księciu Pszczyny, von Pless. Mówiono wówczas, że zamienił je za jelenie, których zresztą w Puszczy Białowieskiej był i tak nadmiar. Ta „przyjacielska" transakcja po ponad pięćdziesięciu latach miała się okazać jednak zbawienną dla tego gatunku. Dzięki niej po wyginięciu białowieskich żubrów, te podarowane do Pszczyny przyczyniły się do odtworzenia stada w Białowieży.

W roku 1857 w Puszczy Białowieskiej żyła rekordowa liczba 1898 żubrów, jednak ta duża populacja zaczęła szybko topnieć. Najważniejsze tego przyczyny to: niewystarczająca ilość pokarmu, kłusownictwo oraz przygotowania do walk powstańczych (1863 – 64) niepokojące zwierzynę.

W tym też czasie pozwolono na nadmierne rozmnażanie się jeleni i saren, co pogorszyło zdrowotność zwierzyny i ograniczyło liczbę urodzin. W ciągu pięciu lat zginęło prawie tysiąc żubrów, a po Powstaniu Styczniowym ich liczba spadła do 875. Odtąd systematycznie zaczął się zmniejszać w puszczy stan tych królewskich zwierząt.

Kiedy to w sierpniu 1915 roku do Puszczy wkroczyły niemieckie wojska naliczono ich 785 sztuk. Żubry nie uciekały, dumnie spoglądały na umundurowane żołnierskie formacje, biorąc je zapewne za służbę leśną. Jedno ze stad nawet z zaciekawieniem zaczęło przyglądać się przemarszowi wojsk i przyzwyczajone do

ludzi podeszło zbyt blisko. Kiedy jednak żołnierze weszli na jego terytorium, żubry uznały, że ludzie ich atakują i całe stado rzuciło się na oddział, tratując żołnierzy i wywołując wśród nich panikę. Niemcy użyli karabinów maszynowych. Uśmiercili kilkadziesiąt sztuk. Gazety niemieckie pisały potem, że w puszczy pozostało tylko 150 żubrów.

Chociaż władze wojskowe zakazały strzelania do żubrów to wojnę przeżyło zaledwie dziewięć tych wielkich i już wówczas rzadkich zwierząt.

W kwietniu 1919 roku władze polskie postanowiły policzyć żubry w Puszczy Białowieskiej. Znaleziono jedynie jednego, ubitego przez kłusownika żubra. Zastrzelił go nieprzejednany kłusownik puszczański, gajowy Bartłomiej Szpakowicz ze wsi Stoczek.

Wydawało się, że los żubra został przesądzony na zawsze. Leśnikom jednak błysnęła iskierka nadziei, bo żyły jeszcze na świecie żubry, które wcześniej przeniesiono z Białowieży do ogrodów zoologicznych i zwierzyńców. Do takich należały żubry ze zwierzyńca z białowieskiej hodowli darowane przez cara księciu von Pless z Pszczyny.

*

W roku 1918 w lasach pszczyńskich było ich tu ponad siedemdziesiąt sztuk, jednak zaledwie po trzech latach liczba ta zmniejszyła się do pięciu. Żądza zabijania i kłusownictwa dotknęła więc również te tereny, szczególnie po Powstaniach Śląskich.

Książę pszczyński próbował wywieźć żubry do Niemiec, jednak jego plany pokrzyżował Komisariat Plebiscytowy. Cały jego kompleks leśny, wraz z żubrami, znalazł się w granicach ówczesnej Polski 3 lipca 1922 roku. Były to jednak żubry mizerne: byk Plebejer z odstrzelonym ogonem, Platon – dwuletni kaleka, nie

nadający się do rozrodu i siedemnastoletnia żubrzyca Planta, postrzelona w ucho.

*

Nie było dnia, aby nie grzmiały strzelby redukujące zwierzynę. Doświadczona żubrzyca Planta już kilka razy była w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa. Na jej oczach padło kilka żubrów ze stada. Któregoś dnia o wschodzie słońca poczuła ogromny ból. Omal nie zwaliła się z nóg. Potem usłyszała huk. Gruby śrut utkwił jej pod włochatą skórą za uchem i w łopatce. Oszołomiona i półprzytomna gnała ile sił na odległe bagna, by być jak najdalej od złowrogiego lasu. Tam w kojącym ból błocie przeleżała parę dni. Wiedziała odtąd, że ból związany był zawsze z ludzkim zapachem i głośnym hukiem. Pamiętała też, że nieszczęścia, które dotknęły jej współtowarzyszy, zawsze zdarzały się za dnia, kiedy było jasno.

Za wszelką cenę musiała się uratować, choćby dlatego, że spodziewała się potomstwa. Postanowiła na żer wychodzić tylko nocami i nie zdradzać swej kryjówki. Brała przykład ze starego dzika, który mieszkał na bagnie nieopodal jej legowiska. Nawet często chodziła jego śladami. Nienawidziła hałaśliwych jeleni i skrzypiącej powózki przejeżdżającej obok jej kryjówki. Była czujna. Wolała żerować na niedostępnych bagnach i nie pokazywać się na łąkach, gdzie nęciła soczysta trawa.

Stała się nieufna, nawet ostrożniejsza od starego odyńca z bagien. Upodabniała się do swych dzikich, białowieskich przodków. Aż do bólu była wyczulona na ludzki zapach i podejrzane dźwięki, a ruch w lesie zawsze kojarzyła z niebezpieczeństwem.. Przetrwała najgorszy okres swego życia w puszczy.

24. Plisch

Płytkie bagienne rozlewiska niegdyś zwano „blszczyny”, co oznaczało błyszczące wody i bagna. Zdaniem prof. Jana Miodka od nich przybrała nazwę rzeka Pszczynka zmierzająca do Wisły oraz miasto Pszczyna i wielkie bory wokół niej.

Żubry miały tu wspaniałe warunki do bytowania i wychowywania potomstwa.

Pięknie jest na świecie - myślała Plakieta, jedna z trojga żubrząt urodzonych przez Plantę. Lasy, jakby na jej powitalne przyjście na świat przybrały się w świeżą, pachnącą zieleń, a szemrzący strumyczek Korzeniec sugerował jej dalekie puszczańskie pochodzenie. Odziedziczyła wszystkie dobre cechy po swej matce, a obcując z nią nabyła jeszcze nowych - rozum i dystans do człowieka. Poza pierwotnym puszczańskim wyglądem pozostała w niej dzikość i umiłowanie do swobody.

Plantę cechował instynkt samozachowawczy, jakby przeczuwała, że od niej właśnie zależy cały żubrzy ród na ziemi. Wydała na świat aż piętnaście potomków, co przyczyniło się do zwiększenia populacji tego wymierającego gatunku. W przyszłości miały żubry z Pszczyny z powrotem powędrować do Puszczy Białowieskiej, skąd przed pół wiekiem przybyły, i tam zagwarantować ciągłość gatunku.

Plisch urodził się nad Korzeńcem w roku 1933. Był wspaniale zbudowanym byczkiem. Miał długą brodę, głęboko zwisającą ku dołowi, szyję i bark pokryty kędzierzawym włosem, a na sobie krótką, lśniącą, ościową sierść. Już od urodzenia znacznie różnił się od swego rodzeństwa odwagą, siłą i pomysłowością. Czasami

swym zachowaniem przypominał matkę, a nawet w bystrości umysłu ją znacznie przewyższał. Aby zwracać na siebie uwagę, od młodzieńczych lat płatał figle. Wyrywał korzenie i drzewa, najczęściej świerki, zarzucał na łeb i dumnie się tak prezentował przed stadem.

Wiele razy próbowano go zwabić do szydła i wprowadzić do zagrody, jednak bezskutecznie. Raz jeden się to udało, jednak i tak ognisty młokos wydostał się poza ogrodzenie. Służba leśna nie mogła sobie z krnąbrnym byczkiem ni jak poradzić.

Kiedy ukończył trzy lata rozpoznano w nim dobrego i wartościowego reproduktora, o cechach żubra nizinnego, właściwego dla linii białowieskiej. W roku 1936 Plisch opuścił hodowlę w Pszczynie, ku zadowoleniu opiekunów, i powędrował do Puszczy Białowieskiej.

Czekały tam na niego dwie samice sprowadzone ze sztokholmskiego ZOO, Biserta i Biskaya. To właśnie one wspólnie z Plischem dały ”współczesny początek” żubrom białowieskim.

Nowy nabytek z Pszczyny, jednak nic a nic ze swego wcześniejszego zachowania nie zmienił. Tak jak dawniej stwarzał kłopoty opiekunom, a kiedy tylko nadarzała się okazja opuszczał zagrodę. Zmuszony do powrotu bywał nieobliczalny: walił łbem o płot i chorował. Nie pomagały groźby i zachęty. On za bardzo cenił sobie swobodę, którą wyssał wraz z mlekiem matki. Pomimo, że w rezerwacie był dobrze karmiony i niczego mu nie brakowało, to wielka przestrzeń i puszcza za ogrodzeniem stale go nęciła. Płynęły z niej zapachy, które przyprawiały go o ból głowy i przypominały o swobodzie. Wówczas jego oczy nabiegały krwią, a kopytami walił nerwowo o ziemię.

W końcu z przymrużeniem oka potraktowano jego kolejną ucieczkę z rezerwatu. Żubr sam znalazł się w wielkiej puszczy. Podobnie jak jego matka najpierw biegł ile tylko miał sił, a potem zaszył się bagiennej gęstwinie pomiędzy Narewką i Lutownicą. Zachłysnął się wolnością i swobodą!

Życie w puszczy nie było łatwe, jednak wszystko tu było smaczniejsze niż w zagrodzie i nie miało ludzkiego zapachu.

Kilka razy przestraszył go wielka locha z warchlakami, która miała swój barłóg obok grzęzawiska. Każdego niemal dnia czarna wiewiórka „przyczepiała" się do niego i nie chciała z nim rozstać. Tam gdzie tylko on podążał była i ona, a kiedy się położył, zrzucała na niego szyszki.

Przy mokradle nagle przed nim poderwała się chmara batalionów. Przefrunęła obok, błysnęła białymi brzuszkami i kryzami na piersi. Jedna z grupek usiadła naprzeciw jego leża. Nigdy przedtem takich ptaków nie oglądał. Miały łebki ozdobione dwoistymi czubami, były rude, inne rudo-czarne, jeszcze inne cytrynowe. Nad turzycowiskiem jak chmara barwnych motyli to wzlatywały to siadały. Toki batalionów odbywały się cały dzień, a pod wieczór śpiewał słowik i grały na bagnie żaby.

Tu jest moje wymarzone królestwo – rozumował Pisch. Jednak, kiedy nad lasem na ciemnym niebie ukazał się sierp księżyca i zrobiło się ciemno, wyczuł jakiś wrogie zapachy. Musiał czuwać! Przed sobą miał wilki. Pamiętał, że ubiegłej zimy okaleczyły mu nogę. Miejsce to stawało się dla niego zbyt niebezpieczne.

Tutaj puszcza zachowała swe pierwotne oblicze, od którego już dawno odwykł. Któregoś dnia rozpoznał zasadzkę człowieka i dzięki swemu sprytowi oddalił się od niej. Starał się chodzić bez najmniejszego szelestu, z gąszczy wyłaniał się i znikał jak zjawa.

Nadal tęsknił za stadem. Wilki coraz częściej dreptały jego tropami, również i znajomy ludzki zapach odkrywał częściej. Ogarniała go samotność, wyczuwał niebezpieczeństwo.

Postanowił powrócić do zagrody. Ociężały maszerował rzadszym lasem. Ogromny, rogaty łeb kołysał się w takt kroków. Spod bujnej czupryny połyskiwały brązowe oczy i śledziły każdy obcy ruch. Byk zbliżył się do granicy rezerwatu. Był spokojny. Czekało na niego całe stado, a wśród niego Biserta i Biskaya Nęciły też zapachy pełnych żłobów, świeżej liściarki i soczystej trawy.

Nagle uznał, że jest szczęśliwy!

*

Przez park pałacowy w Białowieży przepływa Narewka. Meandruje wśród dwóch pięknych stawów. Nieopodal grobli znajduje się Muzeum Puszczańskie. Zgromadzono w nim wiele eksponatów, w tym olbrzymią kolekcje ptaków i zwierząt zamieszkujących Puszczę Białowieską.

Rzucają się w oczy cztery fotografie żubrów, a pod nimi imiona: PLISCH, BISERTA, BISKAYA i BORUSSE.

Żubrom tym ten gatunek zawdzięcza swoje ocalenie!

25. Leśniczówka w Jankowicach

Tego dnia na Nowym Świecie szalała zima. Wiatr podwiewał mokrym śniegiem, zalepiał oczy i okna wystawowych witryn. Niewielu przechodniów znajdowało się na ulicy. Pomimo, że sklepy powinny być dawno otwarte, ludzie czasem odchodzili spod zamkniętych drzwi.

Była połowa lutego i kończącej się dekady lat sześćdziesiątych. Chciałem zobaczyć najnowszy sprzęt fotograficzny w warszawskim komisie. Sklep ten stał się w tych latach salonem wystawowym sprzętu fotograficznego, wizytówką najświeższej mody i osiągnięć zachodu. Komis był jednak zamknięty. Rękawicą zrzuciłem śnieg ze szyby, by wśród egzemplarzy obiektywów mego pożądania przeczytać kartkę „Sklep nieczynny z powodu...”.Dalej jej nie czytałem!

Zasłaniając się czapą szybko przeszedłem na drugą stronę ulicy i wszedłem w bramę numer 35. Stało tam parę osób. Strzepywali ze siebie śnieg, strząsali go z butów i narzekali na pogodę. Po drugiej stronie kamienicy, w śnieżnej bieli jak z pocztówki wyraźnie spoglądał na nas oblepiony białym puchem posąg jelenia. Podszedłem bliżej. Patrzył na mnie spokojnie. W tej kurzawce zauważyłem zapalone światła w oknach redakcji „Łowca Polskiego”. A więc urzędują! Tu się zimy nie wystraszyli!

W redakcji pani sekretarka, nakazała mi stanąć, przyniosła miotełkę i tak zostałem na powitanie oczyszczony z zimowej szaty.

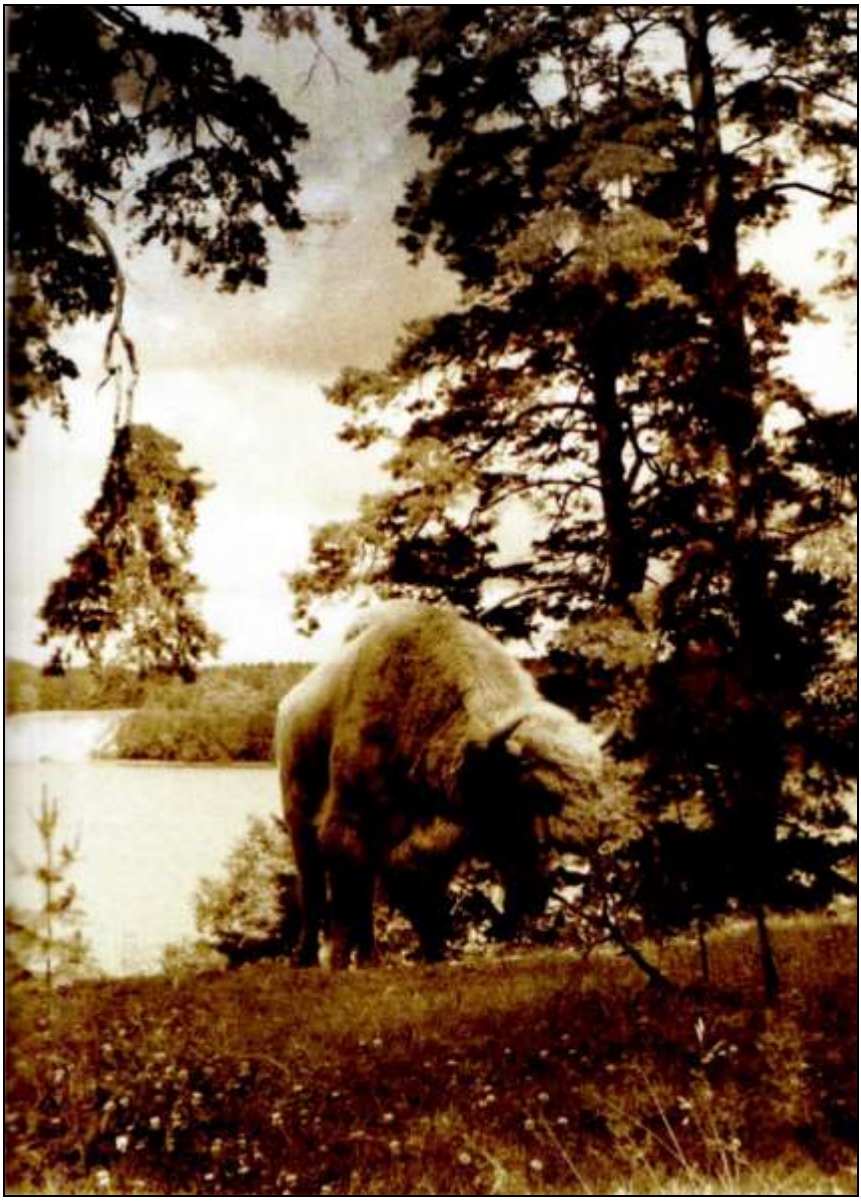

W Wierzbie – mówił – można zobaczyć te osobliwe zwierzęta.

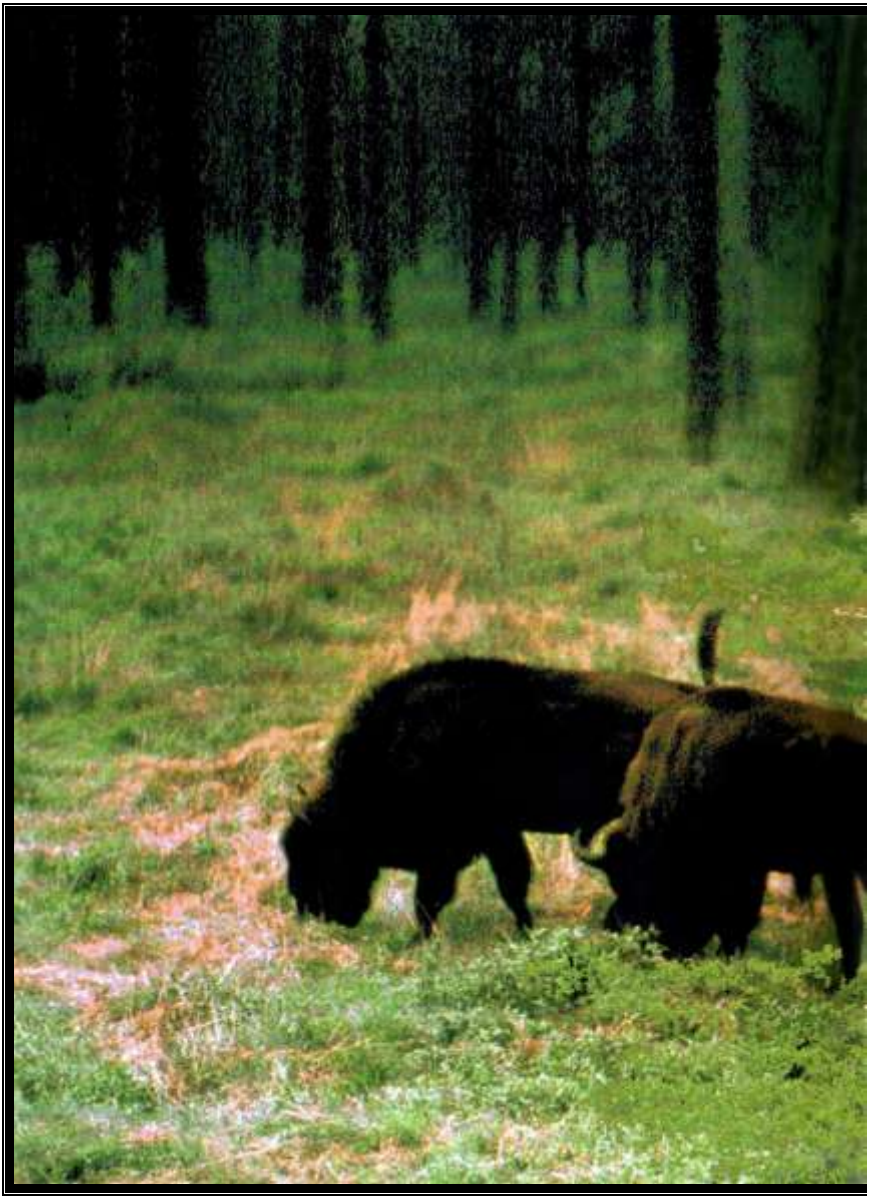

CHMARA ŻUBRÓW

W PUSZCZY PSZCZYŃSKIEJ

Żaden inny zwierz nie budził tyle podziwu, co ten kolos.

Co pana do nas sprowadza na taką pogodę – zapytała? W redakcji poza nią nikogo więcej nie było.

– Niech pan usiądzie! Zaraz będzie gorąca herbata i za chwilę wróci szef z biblioteki to sobie porozmawiacie!

Rzeczywiście, nie czekałem długo. Redaktor Józef, chłop wysoki, ze szczerym uśmiechem i dobrodusznym spojrzeniem, poklepał mnie po ramieniu i pokazał krzesło przy swoim biurku. Znalazły się też na nim dwie gorące herbaty. Rozmowa potoczyła się gładko, jeżeli można tak mówić o tym, co mi zechciał przekazać naczelny dwutygodnika dla myśliwych.

Najwięcej opowiadał o tegorocznym konkursie fotograficznym „Łowca Polskiego". Podkreślił, że jury bardzo podobały się moje żubry.

– Widzi pan, do mnie zwrócił się redaktor z węgierskiego odpowiednika naszej gazety z prośbą o przesłanie im do wrześniowego numeru polskich żubrów. Przejrzeliśmy całe nasze archiwum i znaleźliśmy tylko zdjęcia czarno-białe i takie kolorowane malowanki. Jemu jednak chodzi o większy format kolorowych slajdów. Stąd pomyślałem o panu, inspirowany żubrami z konkursu.

Naraz sobie uprzytomniłem, że żubry to Białowieża, Bieszczady. Puszcza, Borecka, Niepołomice i Pszczyna. Wszędzie cholernie daleko! Ale redaktor mnie z tego myślenia szybko uwolnił i nagle powiedział żubry też mieszkają na Śląsku.

– Pan też mieszka na Śląsku.

Czy mogłem zaprzeczyć i się nie zgodzić?

Robiąc dobrą minę oświadczyłem, że spróbuję.

Na pożegnanie otrzymałem od redaktora naczelnego pismo do inspektora Puszczańskiej Stacji Hodowli Żubrów w Jankowicach. W śnieżycy odszukałem „Pewex" i kupiłem dziesięć rolek slajdów Kodaka, z żalem wyciągając zielone zaskórniaki z portfela.

Dotąd każde wakacje i urlopy spędzałem w leśniczówkach i fotografowałem przyrodę. Tym razem zamiast na spływ kajako-

wy Krutynią pojadę do Lasów Pszczyńskich. Jeszcze w nich nie byłem! Tylko czy moja rodzina zaakceptuje ten nowy pomysł na urlop bez wody?

Kiedy wracałem pociągiem do Jeleniej Góry, miałem już w głowie kompletny plan spędzenia urlopu w Puszczy Pszczyńskiej, z biwakiem nad zbiornikiem w Goczałkowicach.

W domu mojego pomysłu nie zdradzałem, tylko wertowałem mapy i przygotowywałem sprzęt. Kiedy już miałem gotowy program, odkryłem przed żoną swoje karty. Spodziewałem się nie lada burzy!

Stała się rzecz, której nie przewidziałem. Moja żona oświadczyła z zadowoleniem, że bardzo się z tego pomysłu cieszy.

– Od dawna – powiedziała miałam zaproponować wyjazd do Ustronia, niedaleko Pszczyny, do wujka leśniczego u którego jako mała dziewczynka spędzałam wiele razy wakacje.

Kamień spadł mi z serca! Teraz byłem już pewien, że wszystko idzie po mojej myśli, a może raczej redaktora „Łowca Polskiego". Najważniejsze, że uznałem to za dobry początek. Przygotowania zaraz poszły szybszym tempem. Gromadziłem paliwo. Dwukrotnie stałem po cztery godziny w kolejce, aby napełnić kanister. Przygotowywałem sprzęt biwakowy. Dałem do uszycia namiot - czatownię z otworami na obiektywy.

Pod koniec lipca wyruszyliśmy do wujka Bazana, leśniczego mieszkającego obok Ustronia.

Już w następnym dniu trafiłem do Puszczańskiej Stacji Hodowli Żubrów. Przyjął mnie inspektor w średnim wieku. Był bardzo grzeczny i z uwagą przeczytał wręczony przeze mnie list polecający. Patrzył się i na mnie i na list dość długo. Widać było, że podpis i pieczęć nie budziły jego wątpliwości. W końcu oznajmił:
– Z jednym z redaktorów z Krakowa to mieliśmy problem.

Potem jednak od razu przeszedł do rzeczy i zapytał ile chciałbym spędzić czasu w rezerwacie. Odpowiedziałem, że trzy lub cztery dni. Uśmiechnął się i powiedział, że będzie się mną opie-

kował gajowy Pośpioch, ale dopiero za dwa dni, kiedy skończy się w rezerwacie dezynfekcja żłobów i paśników.

– I oby pana nie pogonił żubr, tak jak wcześniej pańskiego kolegę! – dodał.

Podziękowałem inspektorowi i wróciłem do leśniczówki wujka Bazana. Miałem dużo czasu na przygotowanie się na spędzenie paru dni w czatowniach na terenach żubrzych ostoi.

Zdjęcia, które udało mi się wówczas wykonać, przesłałem do redakcji w Warszawie. Trafiły one do „Magyar Vadasz”, organu Związku Myśliwych Węgierskich w Budapeszcie. W wyniku tego następny urlop spędziłem już nad Balatonem i tylko za niewielką dopłatą za kamping. Inne żubry ukazały się w roku 1970 na okładce „Łowca Polskiego”.

26. Żubr na wnyku

Las towarzyszył nam wzdłuż obu brzegów Korzeńca, strumienia płynącego wśród Pszczyńskich Lasów. Później dopiero się rozświetlał i otwierał na szeroki widok łąki.

Szedłem z gajowym do ukrytej wśród drzew czatowni. Nie była to zwykła myśliwska ambona, zwracająca uwagę przechodniów, ale misternie ukryta wśród obejmującej ją ramionami starej sosny. Obłożona matami z trzciny i małym okienkiem u szczytu, przypominała swym wyglądem raczej niedostępny, bajkowy domek, zawieszony między niebem a ziemią.

Przed nią rozciągała się moczarowata równina, na której pasły się żubry. Kilka żerowało w pojedynkę, dalej tonęło w szarości ranka większe stadko. Pasąca się nad strumieniem krowa z cielakiem ujrzała nas pierwsza. Stanęła jak posąg, a kiedy podniosłem do oczu lornetkę, jakby ugryzł ją giez! Podrzuciła do góry ogon i z furą ruszyła w las! Za chwilę i łąka opustoszała. Było to trudno zauważyć, ale drgająca pod ciężarem kopyt ziemia i głuchy tętent o tym świadczyły.

Sam siebie pytałem co się mogło też stać. Przecież żubry nie boją się ludzi aż tak, żeby na ich widok uciekały. Gajowy rozłożył szeroko ręce i powiedział, że chyba powodem paniki było jej zaskoczenie i obawy o nowonarodzone ciele.

Teraz już mogliśmy się spokojnie wdrapać do wnętrza czatowni. Razem usiedliśmy na miękkiej ławie. A kiedy zamknęliśmy drzwi nastał w niej półmrok. Miałem wrażenie jakbym znalazł się w szczelnym kufrze wyścielonym wykładziną dla tłumienia hałasu. Z zewnątrz nie dochodził żaden dźwięk, ani najmniejszy szum

wiatru. Jedynie świdrujący w nosie zapach żywicy przypominał o tym niecodziennym miejscu.

Nachodziła mnie obawa, że stąd nie zobaczę żubrów, a tym bardziej nie będę w stanie fotografować, gdyby wróciły na mokradła. Gajowy jednak szybko rozproszył moje obawy. Przy pomocy dźwigni odchylił pod oknem szczelinę.

Moim oczom ukazał się imponujący widok na parujące mokradła, wschodzące słońce i płynący strumyk - pejzaż, który niewielu miałoby możliwość oglądać w dzisiejszych czasach.

– Widzi pan tę dziką jabłoń stojącą na skraju lasu? zagadnął gajowy. – Każdej jesieni przychodzą pod nią żubry, czasem nawet jelenie by pozbierać jabłka. Mówię dlatego o tym, bo kogoś swędziała ręka i założył tam stalową pętlę na zwierzynę. Zimą sprawdzamy każdy ludzki trop prowadzący do puszczy, to jednak tego kłusownika nie udało nam się poznać.

Ciągle obserwowałem moczary, ale tam się nic ciekawego nie działo. Jedynie dwa kruki głośno kracząc wzlatywały do góry i ponownie siadały na przewróconym drzewie.

Z samego rana nad strumyk przyszedł rogacz. W lornetce wydawał się być młodym widłaczkiem. Obżerał jakieś wysokie kwiaty, bo wspinał się bardzo mocno. Wścibskie kruki ujrzawszy go zaczęły sobie z niego żartować, bo coraz nad niego nadlatywały głośno kracząc. Przeszkadzały mu spokojnie żerować. Zdenerwowany i niezadowolony ze swej bezsilności koziołek wrócił do lasu

Gajowy zaproponował abyśmy jeszcze posiedzieli z pół godziny, bo według niego żubry dzisiaj powinny tu wrócić?

– Myślę – mówił – że zainteresuje pana pewne wydarzenie, które miało miejsce ubiegłej jesieni. Był to zły rok dla żubrów! W listopadzie rolnik mieszkający przy ścianie lasu w Puszczy Białowieskiej, zawiadomił leśników o złapaniu się żubra na wnyk. W nadleśnictwie wszczęto alarm i uzbrojeni w sztucery pracownicy parku narodowego udali się we wskazane miejsce.

Widok zastali niesamowity. Na czterometrowej stalowej linie za rogi chwycił się żubr. Lina umocowana była do kilkuletniej brzozy. Na widok zbliżających się z bronią ludzi zwierzę wpadło w furię i targało pętlą oraz drzewem, ale bezskutecznie.

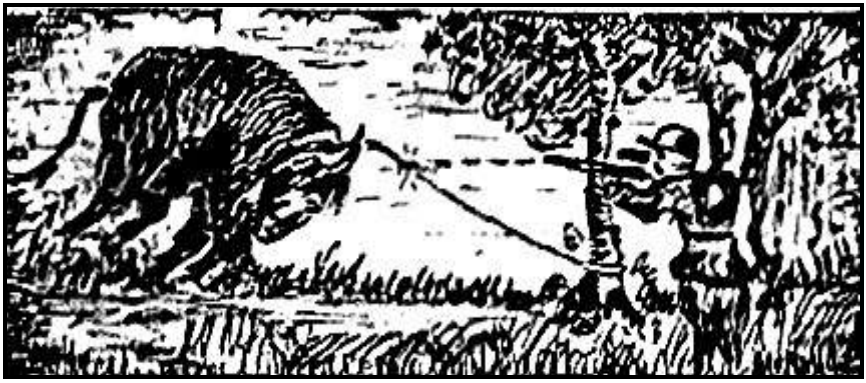

Wówczas w nadleśnictwie nie dysponowano strzelbą Palmera z ładunkami usypiającymi zwierzę. To co wówczas wymyślili leśnicy w głowie się nie mieści! Rozpoczęli strzelanie do liny, aby ją przeciąć. Żubr tego huku nie mógł znieść. Wpadł w wielką złość, szarpał liną, okręcał ją i ścinał stojące wokół drzewa. A leśnicy do tak drgającej liny nie umieli trafić. Uznano ten pomysł za zły. Po zastanowieniu się zrobiono rzecz jeszcze gorszą i znów nastąpiła kanonada. Tym razem jednak strzelano do drzewa, do którego była uwiązana pętla, chcąc rozbić pień brzozy.

Nie wiadomo czy skończyła się amunicja, czy też zapadający szybko zmrok spowodował, że przerwano strzelaninę. Ludzie poszli do domu z myślą, że następnego dnia żubra uda się uwolnić.

Jakie było ich zdziwienie kiedy wczesnym rankiem w lesie zwierzęcia już nie zastano. Nie było też i brzozy, do której było uwiązane. Pościg doprowadził leśników do dużego lasu, gdzie ciągniony na linie konar oparł się o drzewa, a lina pękła kalecząc

przestraszonego żubra, o czym świadczyły ostre końce liny ze zdartą skórą z łba.

Na próżno przez miesiące przetrząsano szczegółowo puszczę. Żubra nie było. Według fachowców zwierzę tak bardzo było wystraszone i zdeterminowane, że na zawsze opuściło puszczę i nasz kraj. Prawdopodobnie przeszło granicę Białorusi.

Gajowy opowiadałby może dalej, ale przyjechała powózka po nas i woźnica dał o sobie znać stukając w drabinę czatowni.

27. Pocisk padł od kuli

Leśniczy Bazan jesienią 1967 roku przebywał w Białowieży na szkoleniu. Prasa powiadomiła wówczas o tym, że w tutejszym nadleśnictwie padł żubr. Znaleźli go przypadkowi ludzie nad rzeką Narewką, w samym środku puszczy.

Opowiadał mi o tym leśniczy w swoim pokoju wypoczynkowym, którego nastrój i widok pobudzał do myśliwskich zwierzeń. Pełno tu było jelenich poroży, wypchanych ptaków, strzelb i prochownic, a w narożniku stał barek w kształcie pnia dębu, którego dziuplę opróżnialiśmy.

Wszyscy już poszli spać Mieliśmy zupełny spokój, a nalewka na miodzie pobudzała nasze wyobraźnie. Świeca z rogowego świecznika już prawie przygasała, kiedy leśniczy starał się przede mną roztoczyć tamten obraz puszczy i wydarzeń.

Pocisk był dobrze zapowiadającym się bykiem w rezerwacie białowieskim. Miał furiacki charakter, co objawiało się ciągłym bieganiem wzdłuż ogrodzenia i płoszeniem stada. Z byle przyczyny wpadał w złość, atakował opiekunów napełniających żłoby owsem i sianem. Mówiono, że jest niespokojnym duchem rezerwatu. Winiono go za wszystkie zniszczone urządzenia, połamane płoty, drabiny i okaleczenia współmieszkańców. Stąd z ulgą przyjęto wiadomość o wypuszczeniu żubra na wolność. Sądzono, że w puszczy nabierze ogłady, a stado jego burzliwe zachowania utemperuje.

Po opuszczeniu zagrody Pocisk od samego początku zachłysnął się swobodą, a kiedy spotkał stado zachowywał się podobnie jak w rezerwacie. Jego ciągłe gonitwy, popisy zręcznościowe

Żubr stanął na chwilę, uspokoił się, a kiedy podniosłem aparat…

Żubry miały tu wspaniałe warunki do bytowania.

Był wielki, brodaty i garbaty niczym wielbłąd.

i liczne walki ze współmieszkańcami lasu z czasem przestały się podobać przywódcom stada.

Na początku żubrzych godów doszło do starcia Pocisku z o wiele większym od niego Plischem. Walka rozegrała się w samym środku puszczy, na oczach niemal całego stada. Bagienna łąka o nazwie „Carska tropina" stała się areną zmagań obu mocarzy.

Mocno poturbowany Pocisk wszedł w bagienne błoto, oblepił ziemią rany i łaził tak po nim niczym wielki dzik. Zmęczony swój trójkątny łeb trzymał bardzo nisko, jedynie znad traw wystawał jego wielki, włochaty garb. Było mu tam dobrze. Nadchodziła noc, owady przestały gryźć, wiedział, że po paru dniach takiej kuracji dojdzie do siebie i wróci do stada, lecz walki ze swym rywalem już więcej nie podejmie.

Jego marzenia na pewno by się spełniły, gdyby naraz nie poczuł straszny ból w sercu i nie usłyszał potężnego huku, który przewalił się przez mokradło. Zerwał się jak opętany i rwał na oślep w stronę lasu. Jednak druga śmiertelna kula tu go dosięgła. Jeszcze tylko ujrzał sierp księżyca nad lasem i pochylające się nad nim ze smutkiem brzozy. Tak na mokradłach zwanych „Carską tropiną" skonał Pocisk - Białowieski Król Puszczy, rażony kulą kłusownika.

*

Starszy, doświadczony myśliwy, jednocześnie nadleśniczy z nadleśnictwa Narewka, lubił siadywać na swojej ambonie ukrytej wśród ramion gęstej sosny. Była połowa sierpnia. Noc zapowiadała się jasna, księżycowa. Było bardzo ciepło. Spodziewał się dzików, które lubiły tarzać się w błocie przed jego czatownią.

Zasiadka nad Kosym Mostem przy rzeczce była pewna. To był jego ulubiony rewir do którego przez lata myśliwi nie zaglądali. Może dlatego, że tego dzikiego wertepu nie znali?

Księżyc ukazał się nad lasem. Rozświetlił bagna i łąki, Myśliwy zamiast dzików zauważył cienie skradających się ludzi ze strzelbami. Wyraźnie kierowali się w głąb puszczy, na moczary skąd zawsze wychodziły dziki. Nie miał już co dłużej czekać. Przecież czarny zwierz wyczuwa z daleka zapach ludzi i bywa wówczas ostrożny - rozumował. Powoli zszedł w dół i udał się do drogi. Tam spotkał obcy samochód i przy nim postanowił poczekać na nieproszonych gości, co to nocą łażą po lesie.

Już zupełnie po ciemku puszczą targnął huk, potem drugi i nastała głęboka cisza.

Leśniczy był odważny! Z powracających z lasu jednego rozpoznał. Był to nowo upieczony myśliwy z pobliskiego miasteczka. W podnieceniu mówił, że strzelał do dużego dzika, a dwaj jego towarzysze ochraniali go przed ranionym zwierzem.

Po rozstaniu się z kłusownikami nadleśniczy ukrył się i z dala obserwował ich poczynania. Wszyscy wrócili do puszczy i przy pomocy latarek próbowali odszukać strzelanego dzika. Kiedy jednak odkryli swą pomyłkę i zamiast dzika znaleźli powalonego

wielkiego żubra, stchórzyli! Przerażeni uciekli z lasu i odjechali samochodem.

– Było wówczas za wcześnie – mówił - leśniczy, aby wiedzieć, jaka kara spotkała wszystkich trzech kłusowników, ale według administracji leśnej musiała być ona sroga i przykładna.

Na łaskawe potraktowanie mógł liczyć tylko najmłodszy, zupełnie nieprzygotowany myśliwy. W lesie, o zmroku, w atmosferze pełnej napięcia i emocji nie trudno było o pomyłkę. Uznano jednak, że niewybaczalnym postępkiem było zatajenie tego zdarzenia przed nadleśnictwem.

Kłusowników spotkała zasłużona, sroga kara!

28. DZIWAK

Przechodząc bramę rezerwatu w Jankowicach, za każdym razem musiałem zdezynfekować buty i ubranie. Istniała możliwość przywleczenia z zewnątrz groźnej dla żubrów epidemii.

Parkan przy szosie był wysoki, a za bramą dwumetrowy pomost, z którego można było obserwować żubry. Przychodziły do żłobów pełnych owsa, siana i buraków. Wiedząc, że żubry żerują w nocy, wcześnie rano i późno wieczorem, nie byłem pewien czy je o tej porze spotkam.

Ten pokazowy zwierzyniec był urządzony wzorowo, tylko o fotografowaniu stąd tych wielkich zwierząt nie mogło być mowy. Urągało to samej powadze żubrów, by ich sylwetki pokazywać na tle płotów, drabin, koryt i drzew ogaconych białymi drągami. Takie fotografie były dla mnie nie do przyjęcia. Szybko też z tego pomostu zrezygnowałem i poprosiłem o podwiezienie mnie do mieszkania dozorcy i składu paszy, na zapleczu rezerwatu.

Obładowany ciężkim plecakiem, śpiworem i sprzętem fotograficznym zgłosiłem się do gajowego prosząc o załadowanie na wózek. Miałem zamiar spędzić co najmniej trzy doby w rewirach, gdzie mieszkają żubry.

Pierwszego dnia zasiadłem w odległej czatowni, stojącej wśród poletek uprawnych. Jechaliśmy do niej zadbaną alejką, wysadzoną kasztanami, kończącą się brzozowym laskiem i szczotką świerków. Z okien mojego domku roztaczał się wspaniały widok na rozłożyste, sędziwe dęby rosnące na łące. Tego jednak ranka tonęły one w porannej mgiełce, a ponad nimi dumnie piętrami wznosiły się szpiczaste wieżyce świerków.

Przed czatownią łąka była zupełnie pusta, jedynie obok sosnowego lasu mieniła się wilgotnymi kropelkami rosy dzika grusza. Światła tu przybywało powoli, mimo to odkryłem pod nią rogacza, mocnego szóstaka. Chyba tu przenocował noc, bo teraz podniósł się z trawy i czyścił swoje futro. Potem dopiero rozejrzał się wokół i wietrzył czy mu nie grozi niebezpieczeństwo. Wszystko było w porządku. Podszedł pod gruszę, wspiął się na tylnych nogach i ogryzał świeże pędy drzewa. Listki jednak mu nie smakowały, bo odgryzioną gałąź porzucił. Ugładził pod sobą ziemię, zrytą wcześniej kopytami żubrów i dzików i na niej się położył.

Lekki poranny wiatr przyniósł z puszczy cierpkie zapachy ziół i lasu. Otworzyłem szerzej okno. Wtenczas po drugiej stronie łąki, w sosnowym starodrzewie zaczęły przesuwać się w mojej lornetce brązowe cienie zwierząt. Ależ to żubry! Stado szło powoli. Dopiero teraz mogłem zobaczyć jak wielbłądzie garby kołysały się wśród zieleni drzew niczym wielkie fale. Kudłate brązowe cielska przesuwały się miarowo po skraju lasu niczym karawana na pustyni.

Pomarańczowe słońce wzniosło się nad szczytami drzew i napełniło światłem łąkę. Żubry zabarwiły się na czerwono, jednak nie wyszły tego ranka. Robiło się, co raz goręcej i rozgrzana żywica swym zapachem przyjemnie mnie odurzała. Poczułem się zmęczony.

Miałem doświadczenia z polowań na dziki, kiedy to zamieniałem dzień na noc, tak i też teraz uczyniłem. Wiedziałem, że trzeba przeczekać gorący dzień i nie zdradzić swej kryjówki.

Jeszcze tylko łyk herbaty z cytryną i wtuliłem się w pachnące siano. Mimo to każdy szelest i większy powiew wiatru, czy dalekie stukanie dzięcioła, słyszałem nawet przez sen.

Obudziło mnie dudnienie ziemi. Zerwałem się i podskoczyłem do okienka. Na łące, już w słabym świetle wieczoru stała żubrzyca z dwoma cielakami - małym tegorocznym i drugim mającym chyba ze dwa lata. Oba po kolei podchodziły pod matkę i spijały

mleko w kolejności. Starszy był drugi, Musiał klękać, aby dosięgnąć wymion matki.

Naraz przed karmiącą żubrzycą pokazał się rogacz, ten sam, którego rankiem widziałem przed domkiem. Widocznie uznał, że żubry weszły na jego terytorium i usiłował je zaatakować. Stara krowa ze spokojem przyglądała się awanturnikowi. Uznała chyba, że rogacz jest dziwakiem! Gdzież taki kilkunastokilogramowy sztubak może się porwać na żubra prawie półtonowej wagi?

Wiedziałem wcześniej, że młode żubry ustępują miejsca starym dzikom – odyńcom, nie znoszą koni, ani psów, często też atakują ludzi, przy których psy się chronią. Ale taki koziołek przecież nie ma żadnej szansy w starciu z żubrem! Rogacz jednak był uparty. Nastroszył się jak kogut. Udając groźnego podszedł zbyt blisko i skierował swe różki w kudłaty łeb żubra. Krowa stanęła jak posąg i tylko coraz bardziej i głośniej dmuchała gębą. Oczy jej nabiegły ceglastym kolorem i uderzała kopytem o ziemię. Kiedy rogacz próbował ją zaatakować, wielki łeb trafił go w bok! Nie wiem, ale chyba zobaczył wszystkie gwiazdy na niebie, przekoziołkował ze trzy razy, a kiedy żubrzyca chciała poprawić, on już był na nogach gotów do dalszej walki!

Oba jej cielaki stchórzyły. Uciekły po pierwszym starciu i tylko z dala przyglądały się pojedynkowi swej matki.

Rogacz - dziwak był nadzwyczaj upartym kozłem. Następny atak krowy chybił. Rogacz w miarę szybko odskoczył, bo żubrzyca pewna trafienia jeszcze parę metrów biegła z łbem przy ziemi. Niczym wielki spychacz chciała kozła staranować. Rogacz dopiero teraz się przestraszył i zrozumiał swój błąd. Kulejąc czmychnął do lasu. Ostatecznie uznał swoją porażkę.

Zupełnie po ciemku na łąkę wyszło jeszcze kilka żubrów i bezszelestnie żerowały przez całą noc. W mojej nocnej lornetce mogłem je dokładnie obserwować. Były jednak niedostępne, nawet dla najczulszego filmu i obiektywu.

29.Spotkałem Pudelka

Już w pierwszych dniach sierpnia przyszły chłodne ranki. Rosa posrebrzyła przyleśne łąki, a mgły trzymały się długo wysokich traw i świerkowych kęp. Nad puszczańskim strumieniem coraz więcej przelatywało kaczych stadek na pobliskie mokradła i tam urządzały głośny rejwach.

Tej nocy już trochę przemarzłem. Pomimo szczelnego dachu magazynu na paszę, jego ściany były dziurawe. Z podłogi zionęło wilgocią i zimnem.

W otwieranych wrotach głośno skrzypnęły zawiasy. Szkoda! Na pewno zdemaskowałem swoją kryjówkę przed żubrami i chyba tego ranka tutaj nie przyjdą! Mają przecież o wiele lepszy słuch od człowieka i wyczuwają niebezpieczeństwo z daleka, a jeżeli nawet by się nie bały, to już będą wiedzieć, że jest w puszczy ktoś obcy.

Naprzeciw magazynu rósł wielki las. Masztowe sosny stały gęsto, a wśród nich, jakby dla wypełnienia pustych miejsc, ścieliły się świerki. Musiało tu im być dobrze, bo jeden po drugim był coraz wyższy, okazalszy i coraz piękniejszy. Swymi gęstymi gałązkami jednak zasłaniały wgląd do wnętrza lasu.

Opadły wszystkie mgły, trawy przestały błyszczeć rosą. Zwątpiłem już w cel mego siedzenia w tej czatowni. Mimo to dwa długie obiektywy miałem wycelowane nadal w tą zieloną mozaikę lasu i czerwieniejące się pnie sosen.

Nic tego dnia nie wskazywało na to, że zobaczę żubry. Omal nie przegapiłem lisa, który odważnie sznurował prawie pod moim magazynem. Kiedy jednak wyczuł ludzki zapach, rzucił się w panice z powrotem do lasu. A to cwany przechera!

Kiedy zrobiło się już zupełnie widno zza świerków wybiegła w popłochu sarna z koźlęciem. Stanęła przed magazynem i stale

oczyła do tyłu, jakby spodziewała się stamtąd jakiegoś niebezpieczeństwa. W głębi lasu nic się jednak nie działo ważnego. Przyglądając się jej przekonałem się jednak, że miała powody. Przy pniu sosny z zielonych gałęzi wystawał trójkątny łeb żubra z czarnymi rogami. Wydawał się, że był przylepiony do kory drzewa, stąd trudno było go rozpoznać. Jak on mógł tak blisko, bezszelestnie tu podejść? Gdyby nie złośliwe muchy nie targałby łbem, a to zdradziło jego obecność. Zupełnie zapomniałem o sarnie, która teraz również mnie odkryła, ale widać, że czuła się bezpiecznie i pewnym krokiem ominęła magazyn.

Mówił mi gajowy, że stare byki są często agresywne. Po oddaleniu się kozy samotnik wyszedł ze świerkowej szczotki. Zaczął potrząsać swym kudłatym łbem i oblizywać językiem nozdrza.

Był wielki, brodaty i garbaty niczym wielbłąd. Każdy krok stawiał delikatnie i precyzyjnie pomiędzy trawami. Można było sądzić, że się skrada do magazynu. Żaden najmniejszy dźwięk, czy szelest nie towarzyszył przemieszczaniu się tak wielkiego zwierzęcia.

Domyśliłem się, że mnie widział, bo nie odrywał swego wzroku od mej czatowni. Znów gwałtownie zaczął trząść łbem i z wściekłością kopać nogą w ziemię. Cóż takiego ja mu uczyniłem, że aż tak się denerwował? Opuściłem obiektyw i przestałem fotografować.

Żubr stanął na chwilę, uspokoił się, a kiedy podniosłem aparat i zobaczył błyszczącą soczewkę obiektywu, wpadł we wściekłość. Bił ogonem po bokach, potem swą złość postanowił wyładować na pobliskim świerku. Najpierw chwycił w pysk gałąź, a później zahaczył rogami i wyrwał drzewo kilkucentymetrowej grubości wyrwał z korzeniami. Podrzucił parę razy do góry i zdeptał wielkimi jak talerze kopytami.

Widząc tak rozjuszonego żubra wolałem się ukryć za wrotami magazynu. Mimo, że byłem ze dwa metry nad ziemią, to czułem strach i jego złość.

Żubry od polowy XIX wieku zamieszkują pszczyńskie lasy.

Moim oczom ukazał się imponujący widok.

Wypoczywająca żubrzyca z cielakiem.

Miał rację gajowy, gdy mówił, że stare byki są niebezpieczne i mogą atakować ludzi. Nawet usłyszałem radę, aby chować się za drzewo. Zwierz będzie biegał wkoło, a jeżeli uzna, że nie ma szansy, szybko zrezygnuje i pozostawi człowieka w spokoju! Może tylko dlatego nie zdarzył się dotąd żaden przypadek zabicia człowieka przez żubra.

Ten samotnik jednak nie rezygnował. Bałem się już kierować w jego stronę obiektyw aparatu. Widocznie za bardzo nie podobała mu się błyszcząca soczewka, bo jej widokiem irytował się najbardziej. Zresztą dźwięk migawki, przypominający czasami szczęk przeładowanej broni, mógł być równie dobrze tego powodem.

Jednak bardzo się myliłem. Z gęstych świerków wyszła krowa, a za nią pokazał się jego młodszy, rywal. Przecież był to początek żubrzych godów i rui w puszczy! Oba byki niechętnym okiem na siebie patrzyły, by nagle znaleźć się naprzeciw. A więc tu była główna przyczyna niepokojów żubrzych. Krowa stała się zakładniczką obu rywali. Wydawało się, że wyraźnie chciała tego pojedynku. Żubry z początku się prowadzały, by niespodziewanie na siebie uderzyć. Zwarły się łbami tak głośno, że przestraszyły krowę, która w popłochu uciekła.

Z napięciem oglądałem to zdarzenie. Nawet zapomniałem sięgnąć po aparat, a gdy o tym pomyślałem obaj rywale nacierając na siebie kopytami wyrywali trawę i mchy oraz obrzucali się gałęziami. W tej plątaninie żubrzych zmagań nie było widać zwycięzcy. Walka coraz bardziej przenosiła się do głębi lasu, aż w końcu ukryły ją gęste drzewa.

Następnego dnia rozmawiałem z gajowym o tym wydarzeniu. Twierdził, że na pewno spotkałem Pudelka, bo mimo podeszłego wieku w czasie rui staje się nerwistym zwierzem. Dodał jednak, że jest on pozbawiony podstępu, o świetnie rozwiniętych zmysłach.

Mogłem się o tym przekonać osobiście fotografując Pudelka.

30. Szarża żubrzycy

Mój urlop w Lasach Pszczyńskich dobiegał końca. Byłem zadowolony. Aura dopisała, a żubry tu były łaskawsze niż te z Puszczy Boreckiej i Piskiej i bardzo chętnie pozowały do fotografii.

Ostatni raz przekraczałem bramę rezerwatu w Jankowicach. Załadowałem mój ekwipunek na wóz z sianem i o świcie ruszyliśmy do odległej ambony na skraju łąki. W tym czasie już wcale nie myślałem o żubrach. Miałem na filmach wiele obrazów tych zwierząt, choć wiedziałem, że dużo z nich było wykonanych w skąpym oświetleniu. Cieszyłem się też z tego, że zapisałem cały zeszyt spostrzeżeń i uwag pod wpływem tej wspaniałej puszczy, żubrów i tutejszej przyrody.

Tego ranka i wieczoru miałem obiecaną możliwość spotkania się z jeleniem, którego często widywano na skraju łąki, delektującego się owocami dzikiej jabłoni.

Woźnica podwiózł mnie pod samą ambonę. Prosto z wozu wskoczyłem na szczeble drabiny, nie pozostawiając najmniejszego śladu i zapachów na ziemi.

W środku delikatnie uchyliłem okno i przez lornetkę starałem się rozpoznać każdy szczegół w leśnym krajobrazie. Po czasie wśród gęstego poszycia odkryłem brązową plamę. Na pierwszy rzut oka wydawała mi się zwalonym konarem drzewa. Znów długo czatowałem, kiedy jednak okno otworzyłem zupełnie, z głębi dobiegały jakieś nierozpoznane odgłosy - pomruki, furkot spłoszonego jarząbka, a nawet kwik warchlaków. Czyżby zalegała tu wataha dzików? Byłem w rozterce.

Kiedy niebo się zarumieniło od wschodzącego słońca i w lesie zrobiło się jaśniej rozpoznałem pod jabłonią kontury zwierza. Jeleń objadał owoce z drzewa, które strząsał sobie rogami. Jego widok napawał mnie optymizmem. Wierzyłem, że uda mi się wykonać wartościowe fotografie, gdy tylko przybędzie światła.

Szansa zdarzała się wyjątkowa, byk był blisko i stał na tle jednego z piękniejszych leśnych krajobrazów puszczy, co w tym oświetleniu dawało wspaniały efekt.

Byłem pod wrażeniem spotkania się z tym wielkim okazem. Łeb miał ciężki z nasadzonym i wygiętym do tyłu wieńcem. Leniwie zahaczał nim o gałęzie i strząsał jabłka. Potem długo stał, wietrzył, nawet cicho pobekiwał, gderał i ziewał. Swój łeb zgiął ku ziemi i ułożył się do drzemki. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę jakim był starym, zmęczonym życiem osobnikiem.

Na długo zamarłem w okienku ambony, mając nadzieję na powstanie byka. Przygotowałem oba aparaty, wycelowałem w jabłoń, pomierzyłem światło a przed czatownią nadal brakowało celu dla obiektywu.

Na próżno w podnieceniu czekałem. W lesie zrobiło się już zupełnie widno i coraz więcej miałem złych przeczuć, że byk dawno stąd czmychnął. Mogło to się tylko zdarzyć, kiedy szykowałem sprzęt. A więc przegapiłem koronnego byka! To był mój wielki błąd, a jeszcze wówczas nie wiedziałem, że za chwilę popełnię następny, który mógł się dla mnie zakończyć nieszczęściem!

Chcąc ratować sytuację i nie przepuścić wyjątkowej okazji spotkania z jeleniem, zrzuciłem z siebie szeleszczącą bluzę, na szyi przewiesiłem światłomierz. Pentaconxisa z ciężkim jasnym Sonarem uchwyciłem niczym strzelbę i zszedłem z ambony.
Byłem święcie przekonany, że byk dalej drzemie w trawie pod drzewem.

Jak Indianin na czubkach palców przesuwałem się bezszelestnie pomiędzy uschniętymi choinkami. Stale uważałem, aby pod butami nie pękła najmniejsza gałązka. Byłem nawet zadowolony

ze swej zręczności i pomysłu! W miarę zbliżania się do zwierza starałem się przyjmować taką pozycję, aby jeleń wypadł na fotografii jak najbardziej okazale.

Często podchodziłem jelenie w Karkonoszach i Puszczy Bydgoskiej. Wierzyłem więc w swoje doświadczenie oraz umiejętności, choć teraz z cierpliwością to już było gorzej.

Kiedy wydawało się, że podszedłem we właściwe miejsce, kilkanaście metrów przede mną z wysokich traw znienacka powstała żubrzyca z małym cielakiem. Natychmiast zrobiło mi się gorąco. Pode mną ugięły się nogi i poczułem pot na czole, a na pewno blokadę w myśleniu. Przecież odległość była niewielka, a mimo to gnany szałem fotografii przyłożyłem do oka wizjer aparatu.

To co w nim zobaczyłem graniczyło z obłędem. W matówce widniał wielki, ruchomy łeb żubra pędzącego co sił do mnie! Nawet nie przycisnąłem migawki. Gwałtownie ruszyłem do ucieczki na oślep! Walnąłem w uschnięty świerk! Zostałem od głowy po

nogi obsypany suchym chrustem i gałęziami. Szok mój był ogromny! Upuściłem aparat, światłomierz i byłem bez czapki. Jeszcze czułem na sobie gorącą parę z gęby rozwścieczonej żubrzycy! Wydawało mi się, że jest to już mój koniec! Kiedy otworzyłem oczy i spojrzałem w wielkie, czerwieniejące ślepia żubra, zwierza szykującego się do zadania decydującego ciosu intruzowi – zamarłem z wrażenia! Myślami błagałem go, aby tego nie czynił! Dalej patrzyłem mu prosto w oczy. Żubrzyca się trochę uspokoiła. Stała jak zahipnotyzowana.

Powoli zrzuciłem z siebie chrust, podciągnąłem kolana, chwyciłem aparat i nie podnosząc się przesuwałem za drzewo. Tym czynnościom teraz zwierz poświęcił najwięcej uwagi. Wolno wstawałem, a kiedy jeszcze poczułem nadzieję, że może się uda wyjść cało z żubrzej opresji, ile tylko sił w nogach uciekałem w stronę ambony. Byłem pewien, że żubr mnie goni, bo hałas łamanego drzewa mam jeszcze do dzisiaj w pamięci. Żubrzyca mściła się na nieszczęsnym drzewie, pod którym leżałem i na mojej czapce, która razem ze światłomierzem pozostała na zawsze w Puszczy Pszczyńskiej

Do dnia dzisiejszego mam respekt do wielkich żubrów, ich mądrego spojrzenia i wrodzonej inteligencji.

Żubrowisko

Puszcze: Białowieska, Borecka, Piska, czy Bory Tucholskie, Niepołomickie, Spalskie i Bieszczadzkie znane są prawie powszechnie, licznie odwiedzane przez turystów i przedstawiane w prasie i mediach. Niemal każde dziecko wie, że w Białowieży mieszkają żubry, a nawet w dalekiej Kanadzie spotkałem Indianina ze szczepu Odzibuwejów, który Polskę kojarzył z „żubrówką". W ostatnim czasie wiele się mówiło o żubrach z Puszczy Boreckiej, gdzie szwedzki myśliwy przez pomyłkę zamiast dzika uszczelił wielkiego żubra. Innym razem w radio i telewizji przedstawiano króla Hiszpanii polującego na żubry w Puszczy Piskiej i Boreckiej.

Położone na Górnym Śląsku Lasy Pszczyńskie nie są tak popularne, a tymczasem właśnie one razem z Białowieżą, stanowią kolebkę nowożytnej historii żubra w Polsce, i na świecie.

Żubry od połowy XIX wieku zamieszkują puszczańskie pszczyńskie lasy. Było im tu dobrze i chętnie się rozmnażały. Jeszcze na początku drugiej wojny światowej stado liczyło dwadzieścia cztery sztuki, a w roku 1945 pozostało tylko siedemnaście zwierząt? Po wyzwoleniu administracja ośrodka dwa z brakujących żubrów odnalazła w Muzeum w Bytomiu. Stały tam jako eksponaty, pocięte szablami przez Niemców, podczas treningu szermierki, jak pisał Stanisław Cynkier w swoim pamiętnikach.

W roku 1947 zamknięto żubry w zagrodzie o powierzchni trzech hektarów, dla ich bezpieczeństwa pilnowanej przez uzbrojone straże. Otoczone pieczołowitą opieką zwierzęta szybko się rozmnażały, co rokowało zachowanie tego gatunku w puszczy.

W ciągu niespełna dziesięciu lat przybyło na świat 38 żubrów – 15 byków i i reszte żubrzyc. Rezerwat w Pszczynie stał się znaczącym ośrodkiem hodowlanym i rozpoczął przesiedlanie nadwyżek tych zwierząt do innych ośrodków.

Leśnicy pszczyńscy byli dumni ze swych osiągnięć hodowlanych, a Polska szczyciła się dużym przyrostem tych zwierząt.

Euforia trwała jednak krótko. Nad puszczę nadciągnęło powietrze morowe. Wybuchła epidemia pryszczycy. Do rezerwatu przywlekły ją bezpańskie psy i koty, a także dzikie ptactwo.

Cała administracja leśna stanęła w roku 1953 do walki z epidemią. Ściągnięto najznakomitszych weterynarzy, a mimo to na przełomie roku padło siedemnaście żubrów. Pozostałe przy życiu osobniki, jakby wiedzione instynktem samozachowawczym, oddzieliły się od stada i podejmowały długie wędrówki. Dopiero po usunięciu ataku epidemii powróciły na swoją dawną ojcowiznę. W sierpniu 1955 roku powrócił byk Pudelek, później Ponianka,

Pumorka, Purta i Pusłanka, potem jeszcze Pułańka, Pureka, Puborta i Pujata.

Również obecnie o żubrach pszczyńskich niewiele się mówi. Właściwie o ich istnieniu dowiadują się tylko odwiedzający Pszczynę. Trudno jest je obserwować, bo zamieszkują obszar ponad 700 hektarów.

Ośrodek Hodowli Żubra mieści się w przepięknym, starym sosnowym lesie z domieszką świerka, buków i dębów. Tak wspaniale zresztą wyglądają prawie wszystkie lasy śląskie. Położony jest pomiędzy łąkami i bagnami połączonymi, malowniczymi, leśnymi strumykami. Rośnie w tych lasach więcej niż gdzie indziej drzew owocowych, chętnie odwiedzanych przez dziką zwierzynę.

Żubry nie mają tu dwunastometrowych masywnych obwarowań i palisad jak w białowieskim rezerwacie, czy nawet zamkniętej części w Puszczy Boreckiej. W Pszczynie prawie żyją na wolności, w symbolicznie zamkniętym rezerwacie w Jankowicach. Od ulicy odgradza je tylko czterystumetrowy płot z żerdzi ułożonych poprzecznie. Dla wielkiego żubra żadna to przeszkoda.

Być może już wkrótce się to zmieni, gdyż od pewnego czasu planuje się budowę zagrody pokazowej, w której będzie można zobaczyć z bliska wielkie pszczyńskie żubry.

Śmiało dziś można stwierdzić, że ponad pięćdziesiąt procent światowej populacji tych zwierząt ma genetyczny związek z pszczyńskimi żubrami. Wszystkie żubry na świecie są zarejestrowane w „księdze rodowodowej", powstałej w Paryżu z inicjatywy Polaka Jana Sztolcmana. Miało to miejsce na Zjeździe Ochrony Przyrody, gdzie utworzono Towarzystwo Ochrony Żubra. Po wojnie godność jego prezesa piastował dr Jan Żabiński.

W Polsce są wyodrębnione dwie linie – pszczyńska i białowieska. Polskie żubry noszą imiona zaczynające się na literę „P", te z linii pszczyńskiej „Pl", a białowieskie „Po".

Kiedy fotografowałem żubry w roku 1968, ośrodek w Pszczynie podlegał zarządowi Ligi Ochrony Przyrody i Ministerstwu Leśnictwa. Od lat osiemdziesiątych przekazano tą hodowlę pod opiekę Parków Narodowych. Wówczas pszczyński ośrodek przydzielono Białowieskiemu Parkowi Narodowemu, a od roku 1987 przekazano Ojcowskiemu PN.

Stado tych zwierząt w roku 2002 liczyło 30 sztuk Żubry były w dobrej kondycji, o czym świadczyły wysokie ich przyrosty. Najstarszy mieszkaniec puszczy wówczas liczył sobie dwanaście lat. W roku 1995 z 15 żubrzyc urodziło się 14 cieląt, a razem wówczas żyły 53 osobniki. Puszcza stawała się dla nich za mała, stąd część przekazywano do innych ośrodków hodowlanych, nawet za ocean, do Argentyny.

Od roku 1996 obszar hodowlany w Jankowicach został objęty ochroną prawną jako rezerwat „Żubrowisko" i przydzielony nadleśnictwu. Ministerstwo nadzór nad całością przekazało Lasom Państwowym. Od 1 stycznia 1998 roku gospodarzem rezerwatu „Żubrowisko" zostało Nadleśnictwo Pszczyna.

Chmara żubrów w Puszczy Pszczyńskiej.

Spis rozdziałów

ŻUBRY RADZIWIŁŁÓW

Kilka słów wstępnych 7
1. Ucieczka z Pałągi 13
2. Wilczy Bród 17
3. Wielki łupur 21
4. Osacznik Kekstas 25
5. Deportacja 31
6. Wilczy Szaniec 35
7. Żubry Radziwiłłów 39

W PUSZCZY BORECKIEJ

8. W krainie czterech rezerwatów 45
9. Leśniczówka Walisko 48
10. W czatowni 53
11. Osadnik Degutis 57
12. Wiedźma Paulina 61
13. Puszczan 65
14. Imperatorzy puszczy 70

W PUSZCZY PISKIEJ

15. Rydelek –mazurski Harnaś 79
16. Tarpany 82
17. Czaple 87
18. Bobry z Sowirogu 92
19. Żubronie 98
20. Zatoka wąsaczy 102
21. Ostatni król puszczy 106

W PUSZCZY PSZCZYŃSKIEJ

22. Kamerdyner z Książa 113
23. Podarunek cara 117
24. Plisch 120
25. Leśniczówka w Jankowicach 124
26. Żubr na wnyku 132
27. Pocisk padł od kuli 136
28. Dziwak 142
29. Spotkałem Pudelka 145
30. Szarża żubrzycy 150
Żubrowisko 154

NA TROPACH KSIĄŻEK

ZBIGNIEWA ADAMSKIEGO

WYDAWNICTWO WSPIERANE PRZEZ ZARZĄD OKRĘGOWY POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO W JELENIEJ GÓRZE

DLA KOLEKCJONERÓW KSIĄŻEK I PRZYGÓD ŁOWIECKICH

MYŚLIWSKIE SPOTKANIA NAD WODĄ I W KNIEI

Spis książek

– zawartość.
– ex libris

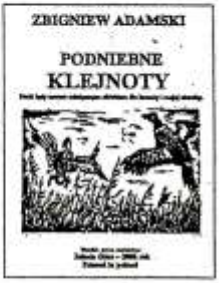

1. Skarbiec Świętego Huberta w Karkonoszach i na Pogórzu
Strona tytułowa
Słowo wstępne
Spis rozdziałów
Sudecka Kraina Łowów
- bibliografia

2. Ze strzelbą i wędką
Strona tytułowa
Od autora
Spis rozdziałów

3. Ontaryjskie safari
Strona tytułowa
Od autora
Spis rozdziałów

4. Nad rzeką Św. Wawrzyńca
Strona tytułowa
Spis rozdziałów

5. Łowy z kamerą
Strona tytułowa
Zamiast wstępu
Spis rzeczy

6. W królestwie Diany
Strona tytułowa
Słowo wstępne
Spis rozdziałów

7. Z wędrówek po puszczach
Strona tytułowa
Spis rozdziałów

8. Tęczowe lasy Kanady
Strona tytułowa
Słowo wstępne
Spis rozdziałów

9. Ryby mego życia
Strona tytułowa
Słowo wstępne
Spis rzeczy

10. Podniebne klejnoty
Strona tytułowa
Słowo wstępne
Spis rozdziałów

Znajdziesz więcej: w Zarządzie Okręgu Polskiego Związku Łowieckiego w Jeleniej Górze, tel. (0-75) 75 223 68, Internecie: kiermasz pl., sklepie myśliwskim „Muflon" w Jeleniej Górze, tel. (0-75) 75 257 27 Autor (0-75) 75 249 02.

ZBIGNIEW ADAMSKI jest autorem wielu książek przygodowo łowieckich, wystaw fotografii przyrodniczej, wielokrotnym laureatem konkursów fotograficznych i literackich „Łowca Polskiego". Zilustrował sześć książek Wydawnictwa „ Świst". Zdobył 63 nagrody w konkursach fotografii, Przygotował 22. wystawy indywidualne Jest współzałożycielem Jeleniogórskiego Towarzystwa Fotograficznego, wieloletnim prezesem Foto Klubu, członkiem Komisji Krajoznawczej PTTK. Otrzymał Złotą odznakę Fotografa Krajoznawcy. Za wystawy fotografii wędkarskiej i prace w Komisji Propagandy PZW w Jeleniej Górze wyróżniono do Brązową, Srebrną i Złotą Odznaką PZW za Zasługi dla Wędkarstwa Polskiego,

W Polskim Związku Łowieckim działa od 1970 roku, między innymi w Zarządzie Koła Łowieckiego „Darz Bór", w Komisji Etyki, Tradycji i Zwyczajów Łowieckich przy Zarządzie Okręgu PZŁ w Jeleniej Górze. Za działalność na rzecz łowiectwa otrzymał: Brązowy, Srebrny i Złoty Medal Zasługi Łowieckiej oraz Złom - najwyższe odznaczenie myśliwskie. W roku 2004 z okazji 80 lecia - PZŁ został uhonorowany wpisem do Wielkiej Księgi Łowców Polskich.

Opracował Andrzej Chmielewski

ZACHODNIA LITWA
Z WĘDRÓWEK
PO PUSZCZACH

W puszczy bez strzelby zawsze czułem się obco gdyż działo się tu wiele rzeczy tak nieprzewidywalnych i niebezpiecznych, jak chociażby spotkania z żubrami. Jednak kiedy miałem ze sobą kamerę zapominałem o mej kniejówce. Stawała się dla mnie jedynie zbędnym rekwizytem. Wówczas teleobiektyw dodawał mi pewności siebie, zapewniał poczucie spokoju i bezpieczeństwa.

Współczesne łowiectwo coraz bardziej zmierza w kierunku ochrony zwierząt, preferuje upajanie się pięknem przyrody, dostarcza najwyższych emocji i regeneruje siły.

Kiedy odwiedzamy puszczę, musimy poskromić strach, być przygotowanym do spotkania się z jej mieszkańcami, a bezkrwawe łowy stają się pełnym emocji nowo - czesnym polowaniem.

W puszczy przede wszystkim liczy się szacunek do jej mieszkańców, drzew i roślin, mądre korzystanie z darów przyrody.

Powinniśmy brać przykład od naszych poprzedników, którym zawdzięczamy przetrwanie wielu gatunków zwierząt, w tym także żubrów.

Zbigniew Adamski

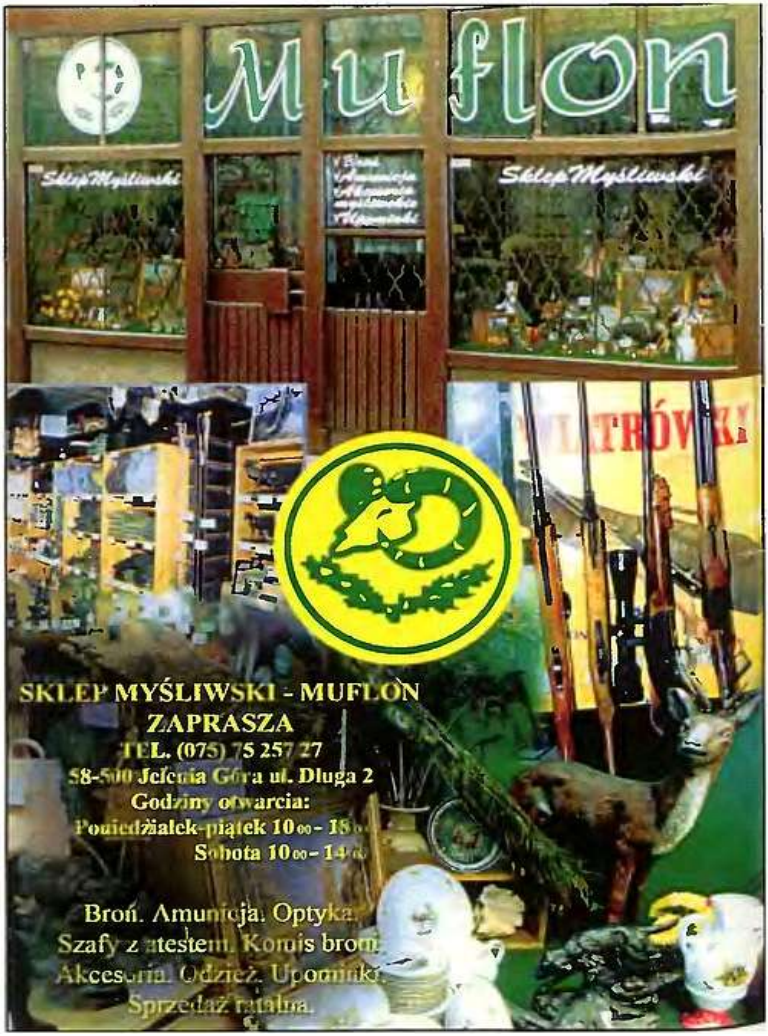

Publikacja powstała dzięki wsparciu finansowemu Zarządu Okręgowego PZŁ w Jeleniej Górze.
Złożono czcionką Times New Roman i wydrukowano na papierze Poljet kl. 80 g.
Jelenia Góra wrzesień 2004 rok

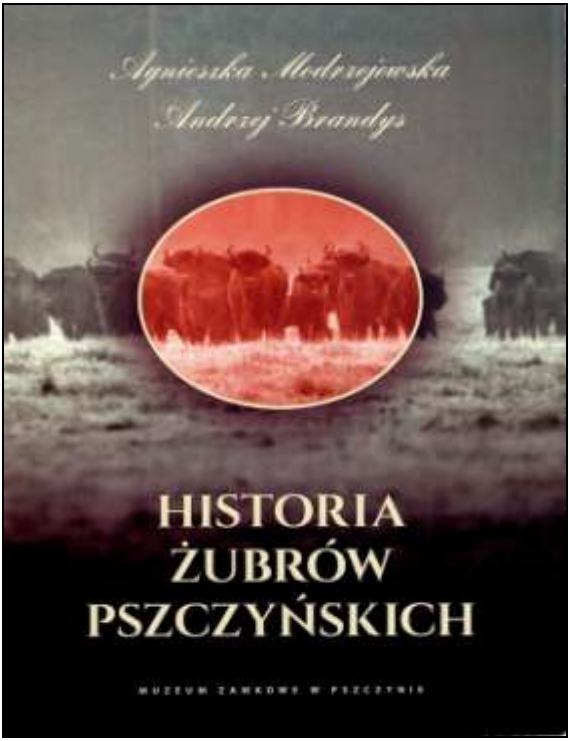

W kwietniu 2015 r. Muzeum Zamkowe w Pszczynie wydało monografię pt. „Historia Żubrów Pszczyńskich", książkę 115 stronicową, autorstwa Agnieszki Modrzejewskiej i Andrzeja Brandysa. Z tej okazji Dyrektor Muzeum Zamkowego w Pszczynie Maciej Kluss przesłał na ręce red. Zbigniewa Adamskiego, autora książki „Z wędrówek po puszczach" podziękowanie następującej treści: ***„Red. Zbigniew Adamski Składam Panu serdeczne podziękowanie za przekazane Muzeum Zamkowemu w Pszczynie fotografii puszczańskich żubrów, które wykorzystaliśmy w publikacji książki „Historia Żubrów Pszczyńskich". W dowód wdzięczności za okazaną pomoc przekazuję Panu egzemplarz tej książki. Łącze wyrazy szacunku Dyr. Muzeum Maciej Kluss."***